

PÓŁ ROKU POD PRUSKIM NAJAZDEM.

PRZEZ

KAROLA BAILLE

przekład z francuskiego.

Dodatek do „SŁOWA”

WARSZAWA.
DRUKIEM NOSKOWSKIEGO
15. ulica Warecka 15.

—
1902.

Po naszej porażce w Konstantynie w roku 1837, książę Orleański pisał:

„Wspomnienie dni złowrogich bywa nieraz podniecią silniejszą dla narodu, niż upojenie zwycięstwem. Jeżeli, jak powiada wieszcz, zemsta jest rozkoszą bogów, to można ją nazwać obowiązkiem narodów. Wielkość ich zależy od tego uczucia. Wspomnienie Rossbach ożywiało Francuzów pod Jeną, zaś Jena wytworzyła Prusaków z r. 1813. Niechże Francya, która potrzebuje tyle siły moralnej, pamięta nieustannie o roku 1792 i o roku 1815. Kto odczuwa zniewagę, ten ją zmazuje poniekąd.¹⁾”

Czemże był rok 1814 i Waterloo w porównaniu z r. 1870 i 1871! A jeśli odczucie zniewagi jest niemal jej zmazaniem, to odpokutowaliśmy już pogrom z przed laty trzydziestu. Pamiętamy i obchodzimy rok rocznie chlubne porażki z r. 1871; na imię im Chateaudun, Nuits, Le Mans, Villersexel, Busenval. Sądzę, że pożytecznem świadectwem dla dziejów naszej niezapomnianej zniewagi byłoby przedstawić, jakim był nieprzyjaciół w miejscu bezbronnem.

¹⁾ „Les Compagnes d’Afrique” przez ks. Orleańskiego.

Ze wszystkich miast, dotkniętych najazdem pruskim, mało które zniosło tyle krzywd, niesłychanych gwałtów i pogrózek, jak Poligny w ciągu ośmiomiesięcznego jarzma Prusaków.

Wspomnienie ciężkich prób, nie przetrwałoby może pokolenia, które je zniosło; lecz przypadek zrządził, że jestem w możności odtworzenia tych dziejów bardzo ściśle i dokładnie.

W r. 1870 byłem sędzią pokoju w Poligny i jedynym urzędnikiem sądowym w powiecie; skutkiem rozprężenia, jakie zapanowało w świecie urzędniczym po rewolucyi 4-go września, odegrałem ważną rolę podczas najazdu.

W owym czasie jeden z moich szwagrów zmuszony został bawić w Neuchatel, gdzie jego syn ciężko zachorował; poczytałem sobie za obowiązek zdawać mu dzień po dniu sprawę z tego, na com patrzył. Te isty zostały zachowane; oddano mi je właśnie; gdym przerzucał kartki poźółkłe w ciągu lat trzydziesto, zdało mi się, że ogarnia mnie świeży powiew danej chwili z jej złudzeniami, błędami; zdało mi się, że ostatecznem wrażeniem, wylaniającem się z tych kart jest wniosek, iż cywilizacya to warstwa powierzchowna, osłaniająca pokład dzikości, który ukazuje się przy lada wstrząśnieniu.

Nie pozwoliłem sobie nic zmieniać w tych listach, gdyż jedyną ich zasługą — szczerością, prawdą, schwytaną żywcem. W braku innych, ta zaleta może przynieść korzyść historyi a naukę nowym pokoleniom.

I.

Poligny, 21 stycznia 1871 r.

Wątpię, kochany Leonie, czyś otrzymał nasz list ostatni, albowiem komunikacye zostały przerwane z powodu obowiązkowej obrony, a za kilka dni będą skutkiem najazdu. Czeka nas oblężenie, tem przykrzejsze dla mnie, że przedłuży niepokój o zdrowie twojego Marcelka.

Pragnąc się obznajmiać ze stanem rzeczy i ulżyć twjej tęsknocie za krajem, a także chcąc zachować dokładne wspomnienie nadchodzących zdarzeń, będę kreślił co wieczór wypadki dnia minionego i w miarę możności, postaram się przysyłać ci te sprawozdania.

Chodziłem dziś pieszo do Besain dla załatwienia sprawy urzędowej. Z pierwszego płaskowzgórza Jura, słyszeliśmy wyraźnie kanonadę od strony Dôle. Nie mamy żadnych wieści. Powiadają, że Bourbaki cofa się do Besançon, że przeciął mu odwrót korpus armii, której czoło wyprawiono z Paryża, a której forpocztę przybyły już do Dôle. Spodziewaliśmy się, że zanim Prusacy dotrą do nas, pokój zostanie zawarty... Teraz nic nam nie pozostaje, jak zgodzić się z losem nieuniknionym.

Gdziekolwiek myśl zwróć, wszędzie zgryzota: Marceli walczy ze śmiercią, nas tutaj czeka nędza i ruina, moi bracia bombardowani są w Besançon, ich posiadłości i twoje zagrożone rabunkiem.

Niedziela, 22 stycznia.

Wistocie, armaty grzmiały wczoraj w Dôle; administrator Jura donosi nam, że Dôle zostało wzięte po kilkogodzinnem bombardowaniu. Każę nam urządzać rekonesansy na punktach zagrożonych, gwardzistom narodowym wszystkich gmin i okręgów nakazuje utrzymywać pomiędzy sobą komunikację stałą, wiedzieć o każdym poruszeniu przeciwnika.

Satrapa są legendarni! Wszyscy oni bez wyjątku, wierzą w swoją nieomyślność, uważając ją za łaskę stanu. I tak, p. Trouillebert orzeka, że gwardya narodowa istnieć powinna i sądzi, że wyrośnie z pod ziemi. Właściwie niema jej wcale. Żołnierze-obywatele od trzech tygodni zaledwie noszą zardzewiałe karabiny, znalezione w rowach i na gościńcach Wyższej Saony; ci improwizowani obrońcy nie mają żadnego wykształcenia zawodowego, na co możnaby wreszcie zaradzić, ale braknie im, w dodatku tego, co stanowi niezbędną zaletę żołnierza, a mianowicie: dyscypliny, zespołu, jednolitości ducha i woli. Ten tłum bezładny pierchnąby odrazu wobec takiego przeciwnika.

Wspomniałem przed chwilą o łaskach stanu; zaczynam wierzyć, że istnieją one dla ludzi, którym grozi wielkie niebezpieczeństwo; w miarę zbliżania się, traci ono swą grozę. Ja sam sobie dziwię się, że jestem tak spokojny.

Poniedziałek 23 stycznia.

Zaczyna się pogrom: przez Poligny ciągną chmary pijanych, obdarłych żołnierzy. To uciekinierzy. Aby się usprawiedliwić i zdobyć parę kieliszków wina, obmawiają swoich dowódców, opowiadają najnieprawdopodobniejsze historie o armii wschodniej, mówią, że poszła w rozsypkę, że Bourbaki umknął. Co za wstyd, co za nieszczęście! Podobno generał Roland nie chciał zakazać swego wojska zetknięciem z tą hołotą i zwrócił ją z Besançon na Lons-le-Saulnier. Popłoch i nieporządek zwiększa jeszcze powrót wozów, które były wyprawione aż do Lyonu na żądanie armii wschodniej. Tymczasem nic nam nie grozi bezpośrednio. Widziano ułanów w Tassenières.

Tego samego dnia, o północy.

O szóstej wieczorem zagrzmiał generał-marsz: nieprzyjaciel zajął był Mont-Sous-Vaudrey. Gwardya narodowa z Poligny ma wyruszyć w stronę Aumont i broń przejścia. Mielśmy duży jarmark: czuć nieprzyjaciela w pobliżu, ale swoją drogą jarmark ma swoje prawa i niepodobna zaniechać tradycyjnego obowiązku: skosztowania nowego wina. A wino w tym roku tak mocne, że zawraca najtęższe głowy.

Gwardya narodowa miała się zebrać przed szturmem o dziewiątej wieczorem. Co za ścisk! Co za ciżba! Nikt nie słyszy komendy. Żołnierze nabijają karabiny. Wreszcie ruszają przy dźwiękach Marsylianki. Drżycie Prusacy!

Obiegam ambulansę, klasztor św. Ducha, kolegium, podprefekturę; wyprawiam do Lons-le-Saulnier wszystkich chorych, którymi armia wschodnia nas obdarzyła.

Jest to nieludzkie, ale taki rozkaz intendenty. Mer, donosząc mi o tem rozporządzeniu i prosząc, abym mu pomógł je wykonać, miał łzy w oczach.

Nieszczęśliwi, którym oznajmiam, że muszą ztąd wyruszyć, są zrozpaczeni; mimo grożącego niebezpieczeństwa woleliby tu zostać, niż przy dziesięciu stopniach mrozu umierać na wozie. Ale niema rady.

Po dokonaniu mojej smutnej misyi, zdaję z niej sprawę merowi i rozmawiamy do pierwszej popólnocy. W takiej chwili nie myślimy o różnicy naszych poglądów na reorganizację kraju. Aby kraj mógł być zreorganizowanym, trzeba przedewszystkiem, żeby żył; gotowi jesteśmy na wszystkie ofiary, byle mu życie zapewnić.

Wtorek, 24 stycznia.

Wczorajsza wyprawa miała skutek, jakiego można było się spodziewać. Kolumna, wyruszająca w takich warunkach, musiała pójść w rozsypek i przybyć na miejsce przeznaczenia w liczbie znacznie zmniejszonej.

Okolo drugiej po południu, usłyszawszy w pewnej odległości podejrzany szelest i przypuszczając, że to zbliżający się oddział, gwardya narodowa wskoczyła w krzaki przydrożne. Bertin, starszy kelner hotelu „Grand-Cerf,” przesadzając rów, chciał oprzeć się na karabinie, karabin wystrzelił, kula utkwiała w brodzie i zabiła go na miejscu.

Dziś nie mam nic do zanotowania, chyba to, że wątpimy w możliwość oporu. Jest to tak oczywiście, że żandarmerya, któraby mogła udzielić poparcia gwardyi narodowej, otrzymała rozkaz cofnięcia się do Lons-le-Saulnier przy pierwszej groźbie najazdu.

Jedną z naszych dotkliwszych plag, jest mania naszych, upatrywania wszędzie szpiegów. Śmieszne to poprostu, bo czyż Prusacy zadawaliby sobie tyle trudu? I po co? Wiedzą oni, co sądzić o naszych środkach obrony w tej okolicy, a nie są ciekawi, jakie myśli snują się po naszych tęgich głowach. Codziennie jednak rozchodzi się pogłoska, że w tej lub w owej kawiarni schwymano tajnego agenta Bismarcka. Przyprawiają mi go pod silną strażą, a ja odrazu po paru pytaniach miarkuję, że przypuszczalny szpieg jest obozowym ciurą lub uciekinierem, który opowiadał brednie po kawiarniach, aby zdumiewać konsumentów i zdobywać poczęstunki. Na moje przedstawienia, mer wzbronil śledzić takich szpiegów. Szkoda czasu na podobne oblawy.

Środa, 25 stycznia.

25 stycznia 1871 r.! Poligny zapamięta ten dzień długo i odtąd mniej będzie dumne ze swej bohaterkiej obrony w r. 1638!

Dziś rano kwatermistrz żandarmeryi przyszedł mnie upewnić, że możemy być spokojni: nieprzyjaciel nie zbliża się w naszą stronę. Bądź co bądź, zarządzone były środki, aby nas ostrzedz w razie niebezpieczeństwa. Zaledwie wyszedł kwatermistrz; listonosz przyniósł mi numer „Journal de Genève.”

Przeczytałem go od deski do deski, potem zaszedłem do piwnicy po wino. Nie upłynęło i trzech minut, gdy słyszę okrzyki mojej służącej: „Panie! Prusacy! Prusacy!” Wracam, przeskakuję po parę schodów, i wybiegam na ulicę.

Można było sądzić, że huragan pędzi w górę ludzi

i zwierzęta. Z dolnego miasta biegły kobiety z dziećmi na rękę, wozy wspanały się w szalonym pędzie, jakiś żandarm, który w pośpiechu konia osiodłał, kręcił się na nim jak opętany i nie mógł ruszyć z miejsca. Przyzwał mnie na pomoc; ściągnęłam poprzęgi i popędziłam galopem, dzwoniąc zębami ze strachu.

O wpół do dwunastej na końcu Grande Rue ukazali się pruscy dragoni: było ich ze dwudziestu. Dojechawszy do pierwszego domu, skręcili na miejscu i znikli. Popołudniu jeździłem do Tourmont, aby zasięgnąć języka. Dowiedziałem się, że silniejszy oddział opanował Mont sous-Vaudrey i że w Aumont, odebrali broń mieszkańcom.

O czwartej udałem się do merostwa na zgromadzenie dostojników miejskich. Mer domagał się, aby rozbrojono natychmiast gwardyę narodową. Dał dowód wielkiej odwagi, obstając przy konieczności tego środka, wobec wrzawy zwolenników obrony *à outrance*. Ci zachowiwali byliby w wielkim kłopotcie, gdyby ich wzięto za słowo! Ostateczna decyzja odroczonej do jutra rana.

Czwartek, 26 stycznia.

Jednogłośnie zadecydowaliśmy, że rozbrojenie gwardyi narodowej jest koniecznym wobec niemożliwości obrony, któraby tylko rozdrażniła najeżdżącą i pogorszyła losy mieszkańców. Wezwano gwardyę narodową do złożenia broni w Champ d'Orain; ma być ukryta w miejscu bezpiecznym. Ci, którzy chcą koniecznie walczyć, winni się z tem oświadczyć, a zostaną przyłączeni do armii czynnej. Zwrócono wszystkie karabiny. Zgłosił się jeden tylko ochotnik.

O czwartej wezwano nas znowu do merostwa; adjunkt, zastępujący nieobecnego mera, donosi, że uwiadomiono go przed chwilą o wzięciu Arbais; nieprzyjaciel został tam przyjęty wystrzałami kilkunastu żuawów-maruderów, zaczajonych w winnicach. Miasto wzięto szturmem odrazu. Żuawi zostali zdradzeni przez szpiega, wydobyli ze swych kryjówek i rozstrzelani wraz z pewnym obywatelem miejskim, Bogu ducha winnym. Zrabowano ze dwadzieścia domów, zamordowano trzech ludzi. Prokurator Republiki był podobno znieważony we własnym domu.

Wysłuchawszy wieści, spytałem adjunkta, z kąd je zaczerpnął.

— Wszyscy to mówią — rzekł.

Przdstawiłem mu, że straszenie ludności na podstawie danych tak niepewnych, byłoby wielce nieostrożnym.

Chcąc sprawdzić te pogłoski, oświadczyłem, że wyruszę nazajutrz do Arbais i dowiem się w jakich warunkach nieprzyjaciel miasto opanował. Niejaki p. Lamy chce mi towarzyszyć, Mer poszle mnie z referatem do prezesa trybunału. P. Lamy wskazany będzie jako mój sekretarz

Piątek, 27 stycznia.

Nic nowego. Podobno wczoraj na górach słyszano kanonadę od strony Salines. Zapewne oblężenie. Biedne miasto! Wszędzie jakaś garstka naszej rodziny — tam moja siostra z siedmiorgiem dzieci.

W południe wyruszam do Arbais z p. Lamy; jedziemy otwartym powozem. Wiatr północny, niebo zaciągnięte. Po drodze mówią nam, że forpoczty mogą

nas rozstrzelać, że choćbyśmy dotarli do Arbais, w żadnym razie nie wypuszczą nas z miasta. Pomimo to jedziemy dalej; chcemy postawić na swoim.

O dwa kilometry od Arbais nie jeszcze nie widać, lecz z góry wznoszącej się nad miastem, dostrzegamy dwa olbrzymie ogniska, płonące w głównej alei. Ani śladu forpocztów. Ukazują nam się wreszcie na połowie stoku. Zajeli chatkę dozorey winnic, po obu stronach drogi widzimy szyldwachów z bronią nabitą. Zatrzymuję powóz i pytam ich na migi czy można pojechać; przyzwalają kiwnięciem głowy; wjeżdżamy do Arbais.

Co za nędza! To już nie miasto, lecz niemieckie koszary, nie spotyka się żadnej twarzy znajomej, a jeśli mignie w przelocie, to smętna do niepoznania. Witamy się spojrzeniem. Nareszcie spotykam adwokata Darmann i przedstawiam mu cel naszej podróży.

— Rzezi nie było — objaśnia — ale nie brakło morderstw, dokonywanych na chłodno. Kilkunastu żuawów w rozsypce przyjęło żołnierzy pruskich, wysłanych na zwiady, wystrzałami karabinów, danemi na chybił trafił. Nie mogło to zaalarmować Prusaków, dało im jednak pozór do odwetu, wywarli naprzód swój gniew na piekarczyku, choć biały fartuch nie wskazywał wojownika, zabili go na miejscu, godząc kulą w piersi. Następnie jakiś podoficer, wszedłszy z trzema żołnierzami do pierwszego domu na przedmieściu, kazał schwytać ojca rodziny i najstarszego syna — rozstrzelano ich w ogrodzie. W ten sposób, szerząc postrach, pięć tysięcy ludzi opanowało miasto i dopuszczają się na niem gwałtów i systematycznego okrucieństwa. Niepodobna wszystkiego opowiedzieć.

Słowa są zbyt blade wobec czynów: zresztą dziś lub jutro, poznacie ich system na własnej skórze.

Dowiedziawszy się o wypadkach w Arbais, będących poniekąd zapowiedzią tego, co nas czeka w Poligny, mieliśmy się do odwrotu. Wstąpiłem jeszcze do hotelu Faudot, aby plac-komendanta prosić o przepustkę. Zastałem go rozłożonego na kanapie. Odprawił mnie szorstko, nie chcąc wysłuchać o co chodzi. Jeden z żołnierzy skierował mnie do majora. Spytałem o niego kapitana dragonów; ten tupnął nogą i odpowiedział mi, że nie jest komisarzem policyi.

O parę kroków dalej zatrzymał mnie jakiś cerber. Legitymowałem się listem i poleceniem mera.

— Mer Republiki! — zawołał — patrz pan, jak cennymy jege pismo!

Podarł list i zdeptał go nogami.

— Jesteś pan sędzią pokoju? — spytał — ale to teraz nie pokój, lecz wojna.

Odprawił mnie, oznajmiając, że opuszczę miasto, kiedy *im* się spodoba, ale w każdym razie nie dzisiaj.

Chciałem już kazać odprządz konie i szukać noclegu, biadając w duchu nad niepokojem mojej rodziny, gdy nagle młody oficer dragonów, świadek tej ostatniej rozmowy, widocznie lepszy od innych, zbliżył się do mnie i zapytał, czy może mi się przydać. Wyłuszczyłem mu stan rzeczy.

— Znajdę na to sposób — oświadczył. Wsiadł z nami do powozu i kazał jechać w stronę forpocztów. Po drodze opowiadał, że weszli do Salins wczoraj po małej utarczce, że nie zdobywali fortów i postanowili nie oblegać miasta.

To, cośmy widzieli i przeszli, sprawiło na nas takie wrażenie, że obaj z p. Lamy nie odezwaliśmy się do siebie ani słowem w drodze z Arbais do Poligny. Byliśmy zupełnie przygnębieni.

W Arbais dowiedziałem się, że cztery kolumny zostały wyprawione w góry: widocznie z zamiarem przecięcia Bourbakiemu odwrotu do Lyonu.

Zobaczymy ich niebawem u siebie: mają zwyczaj maszerować oddzielnie, lecz bić się razem. Z Salins zwrócą się do Poligny.

Jak mi mówiono. jest ich pięć tysięcy w Arbais.

Zdałem sprawę z mojej ekspedycji w merostwie i w podprefekturze. Nic ci nie powiem nowego o naszym podprefekcie p. Bergère, wiesz, że to skończony niedołęga; obowiązki jego spełnia właściwie sekretarz Faulque; on mówi i działa, p. Bergère kiwa tylko głową. Ale Faulque niema taktu i zaznacza zbyt jaskrawo nicosć swojego zwierzchnika.

Gdy stawilem się wieczorem w podprefekturze, prosiłem Faulqua z naciskiem, aby mnie zaprowadził do naszego podprefekta, p. Bergère, lecz mi odpowiedział:

— Możesz pan konferować ze mną, to na jedno wyjdzie.

Słuchał mnie z przybraną godnością i przesadną powagą, udawałem, że tego nie widzę. Gdyby ten chłopak, przy wrodzonych zdolnościach i energii, miał jeszcze wykształcenie i dobre wychowanie, mógłby się stać użytecznym. Niestety, ani jednego w życiu nie zdobył.

Sobota, 28 stycznia, północ.

Najazd, mój biedny Leonie, najazd, z całą grozą i brutalnością! Mam dziś u siebie na noc trzydzieści pięć osób i pięć koni. Trzeba to wszystko nakarmić. Jestem złamany, a jutro? a potem? Niech się dzieje wola Boża! Nie wiem, czy już będę mógł prowadzić dalej ten dziennik i uwiadamiac cię o wszystkim.

Niedziela, 29 stycznia.

Znalazłem chwilkę wolną, a ponieważ spać nie mogę, mimo okropnego zmęczenia, postaram się opisać ci wypadki, na które własnymi oczyma patrzałem.

Wczoraj, o wpół do ósmej zrana. słyszę okrzyk: „Prusacy!” Ubieram się pośpiesznie i biegnę do merostwa. Kilku dragonów z pistoletami w garści zlustrowało ulice. Powrócili do szwadronu, stojącego za roгатką, wszyscy przejechali przez miasto i roztasowali się na drodze do Lons-le-Saulnier.

Mieliśmy nadzieję, że to rekonesans, dążący dla osłony większego oddziału armii, który szedł z Arbais do Pontartier. Lecz o drugiej nadzieje przysły: zaczęła napływać jazda, piechota, artylerya, wszystkiego razem ośm do dziesięciu tysięcy ludzi. Ustawili odrazu broń w kozły po obu stronach Grande Rue aż do przedmieść. Stałem przed ratuszem z merem i adjunktami; czekałimy na dalszy przebieg wypadków.

Niebawem zbliżył się do nas oficer intendentury i prosił, abyśmy go zaprowadzili na górę. Chodziło mu o kwaterunek: dostałem pułkownika żandarmeryi, pięciu ordynansów i siedm koni. Każdy żołnierz ma

otrzymywać po trzy posiłki dziennie: rano — kawę; w południe: — funt chleba, funt mięsa z jarzynami, litr wina i kawę; tyleż wieczorem, a w dodatku po sześćdziesiąt gram tytoniu dziennie.

Sądziliśmy, że na tem się skończy, ale były to złudzenia: dowódca korpusu, obozującego na przedmieściu, zażądali od nas chleba, mięsa, kawy, koniaku i wina... dla swoich żołnierzy. Jeden nawet zwrócił się do mnie, prosząc o wino szampańskie. Dałem mu do zrozumienia, że przy obecnym stanie komunikacji, byłoby niebezpiecznie wchodzić w stosunki z wdową Cliquot. Drugi domagał się o koszt starego koniaku dla oficerów,

Mer wznosił ręce do góry, ja przyszedłem mu w pomoc. Oświadczyłem, że znam skład wyborczego koniaku. Poszedłem z nim do dystylatora i porozumiałem się z nim cichaczem: przyniósł pełną szklanek świeżych wyłoczyn winnych. Oficer wychylił do dna.

— Znakomity! — zawołał — bierzemy.

W taki sposób z opatrzyliśmy ich w stary koniak.

Obaj z adjunktem obiegliliśmy wszystkie piekarnie, aby zamówić chleb i bułki. Prusacy żądali niemożliwych ilości owsa; gdy wyczerpią nasze zapasy, będą żądali pieniędzy.

Mój pułkownik sprowadził się do mnie o dwunastej. Nie chciał przekroczyć progu, dopóki mnie nie przeprosił za ambaras. Jest to syn generała dywizji, mówi bardzo dobrze po francusku, dość delikatny, podobałby mi się nawet, gdyby nie był Prusakiem. Mimo całej jego uprzejmości, nie chcemy z nim jadać — posyłam mu śniadanie do jego kwatery, ale on prosi, aby mógł zasiąść z nami do obiadu.

Niepodobna wymówić się od tego zaszczytu, a stanie się on bardzo uciążliwym, gdy będziemy mieli do czynienia z *prawdziwymi* Prusakami.

O wpół do siódmej słyszę dobijanie się kolbami do drzwi: służąca otwiera, to pluton z dwudziestu sześciu piechurów z bagnetami przy karabinach. Wkraczają butnie, wszędzie ich pełno, rozgospodarowują się nawet w sypialnym pokoju mojej żony, rzucają ternistry na łóżko, rozpierają się na fotelach. Wyprawdzam żonę i córkę do pokoju służących i tłómaczę tym gburom, że mam na piętrze apartament, w którym będzie im wygodnie. Grożę im pułkownikiem; odpowiadają mi drwinkami, wreszcie udaje mi się pociągnąć jednego, mniej brutalnego, inni idą za nim. Lecz wśród zamieszania zginęły klucze od pokojów na pierwszym piętrze i od piwnicy. A nasi nieproszeni goście chcą jeść *zaraz, zaraz*.

Pamiętasz zapewne, jak mnie drażnił w Ems ten szkaradny język niemiecki; budzi coś więcej od rozdrażnienia, gdy go słyszymy u siebie, gdy oznacza naszą porażkę i ruinę kraju.

Nakarmić trzydzieści ośm osób, i to *zaraz* — niełatwa sprawa!

Zabieramy się wszyscy do skrobania kartofli, znosimy słomę dla koni — można stracić głowę w tym zamęciu,

Adjutant oświadcza mi butnie, że muszą mieć sienniki.

— Zkąd ja wezmę dwadzieścia siedm sienników? — wołam.

— Nic mnie to nie obchodzi. Muszą być *zaraz* — odpowiada.

W chwili tej wchodzi pułkownik i uspokaja ich; zaledwie odwrócił się, nowe żądania, a wszystko musi być spełnione *natychmiast*.

Wreszcie siadamy do obiadu. Pułkownik przywraca jaki taki porządek. Dowiaduję się, że wszędzie to samo; u dwóch starych panien, moich sąsiadek, zakwaterowało się trzydziestu czterech ludzi. Ten korpus armii przybył z Paryża, składa się z samych Pomorczyków; najgorsza to rasa, twarze brutalne; nieludzkie prawie

O pierwszej zdrzemnąłem się, ale pobudka zagrała o drugiej i w parę minut ci ludzie zdrożeni byli już na nogach; dom opustoszał, wynieśli się cicho, bez zapalania świateł. Zdumiewające. Pułkownik zapowiedział mi swój powrót na jutro.

Dostrzegli podobno armię Bourbakiego od strony Plombes. Przez całą noc słychać była dudnienie przejeżdżających armat i wozów z amunicją; domy drżą w posadach... Jeżeli to wszystko wróci do nas, co pocniemy?

Jesteśmy jeszcze pod wrażeniem wczorajszych wzruszeń i obaw o dziś i jutro. Przy każdym poruszeniu dzwonka u drzwi wchodowych, blednę. Dziś rano w merostwie, jeden z oficerów żądał takiej ilości kawy, jakiej Poligny nie miało nigdy w czasach normalnych; staramy mu się wyperswadować, że żądanie jest niemożliwe do spełnienia. On tupie nogami, grozi.

Po powrocie do domu, jestem wezwany przez moją sąsiadkę, właścicielkę sklepiku. Biedaczka, zalewa się łzami — zrabowali jej cały towar, zabrali nawet przedmioty bezużyteczne: pończoszki dzieciinne, damskie pantofle... Przyprawiam jednego z dowódców;

wypędza rabusiów, pozostawiając dwóch, żeby kobiecina nie mogła zamknąć swego sklepu, co naturalnie ułatwia powrót tamtym.

Wychodzę, czując, że niema rady na takie bezprawia, nagle dostaję pięścią tak silnie, że przewracam się. Twardy kapelusz ochronił mnie od śmierci. Staram się nie poddawać rozpacz. Biedny kraj potrzebuje ludzi energicznych i zdolnych do czynu.

Poniedziałek 30 stycznia.

Jeszcze mi w głowie szumi od wczorajszego uderzenia. Dziś rano byłem w merostwie, gdy wszedł oficer pruski i kazał ogłosić, że ktokolwiek ma broń, powinien ją złożyć w przeciągu dwóch godzin, bo inaczej dom mu splądrują; dalej, że wszelkie wystąpienie zbrojne przeciw armii niemieckiej, karane będzie śmiercią.

Oficer wyszedł, ale zanim mieliśmy czas wykonać ten barbarzyński rozkaz, wrócił i odwołał go, donosząc, że zawarte zostało dwudziestojednodniowe zawieszenie broni, w ciągu którego miało być prowadzone rokowanie pokojowe. Dwaj oficerowie francuscy, przybyli z Lons-le-Saulnier jako parlamentarze, przywieźli tę nowinę. Jaką napełniła nas radością, tego żadne pióro nie opisze; trzeba to przejść samemu, żeby zrozumieć. Ludzie padają sobie w objęcia, ulice dotychczas puste, ożywiają się nagle, gotowi jesteśmy znajdować Prusaków mniej wstrętnymi.

Teraz chodzi już tylko o pieniądze dla spłacenia kosztów tej strasznej wojny, ale nasza okolica odzyska prędko siły finansowe.

Udaliśmy się w deputacji do plac-komendanta, aby go zapytać, czy wobec tych rokowań zamierza użyć prawa rekwizycji. Odpowiada, że głównodowodzący generał nie uwiadomił go urzędowo o zawieszeniu broni. Dwaj oficerowie francuscy wyruszają pod eskortą do Champagnoles po wiadomości w tym względzie.

Wiesz zapewne, że p. d'Areine umarł miesiąc temu? Ponieważ jego rodzina nie mieszka w Poligny, więc dom został bez opieki. W podwórzu stoją dwa olbrzymie furgony, i Prusacy ładują nietylko przedmioty znanego kolekcjonisty, ale i jego bieliznę.

P. Bergère opuścił pałac podprefektury i schronił się w małym domku na przedmieściu, uwalniając się od obowiązków swojego urzędu i od konieczności żywienia Prusaków.

Tymczasem w podprefekturze rozgościły się małżonki żydów, którzy idą za tą armią cywilizacyjną i kupują za pół darmo to, co ona zrabuje. Większa połowa mebli podprefektury już stoi na furgonach. Gdy powrócą stosunki normalne, p. Bergère powinien być pociągnięty do odpowiedzialności za rabunek, który jego dezercya ułatwiła,

Wtorek, 31 stycznia.

Nic nowego, a wciąż ten sam system: żywimy Prusaków i dajemy im kwaterunek.

Byłem właśnie w merostwie, gdy o jedenastej zjawił się oficer pruski i oświadczył, że mamy utrzymywać siedmset koni. Siedmset? Staramy się mu wytłómaczyć, że to jest niemożliwym, ale on nie rozumie niepodobieństwa.

Pobiegłem do plac-komendanta i uzyskałem rozkaz zwolnienia od tego obowiązku. Przyniosłem go oficerowi na piśmie, ale mi odpowiedział, że rozkaz nie wyszedł od plac-komendanta. więc ten nie ma prawa go odwoływać i że jeżeli nie możemy pomieścić koni w stajniach, to znajdzie się dla nich miejsce w pokojach.

Co tu mówić z takim człowiekiem!

Wracam do plac-komendanta i przyprowadzam drugiego oficera, aby utemperował zbytnią gorliwość kolegi. Walka przyniosła owoce, będziemy mieli *tylko* sto pięćdziesiąt koni, a żywimy już sto! Konwój przechodzi przez miasto, nie zatrzymując się, ciągnie sznurkiem dziewięciu kilometrów.

Podobno parlamentarzyści francuscy powrócili do Poligny. Idziemy do nich obaj z merem, aby się dowiedzieć, jak rzeczy stoją. Po długich pertraktacjach, przyprowadzają nam kapitana sztabu głównego, który w obecności dwóch oficerów pruskich i dwóch sztyd-wachów oświadcza.

— Panowie, zawieszenie broni zawarte, lecz generał Manteuffel nie uznaje go dla armii wschodniej, zatem jesteście wykluczeni.

Tyle radości, tyle uciechy, po to tylko, aby znowu pograżyć się w przepaść niepokojów!

Sądziłem, że wyprawię ten list dzisiaj. Ale wobec tego nie wiem, czy kiedykolwiek dojdzie rąk twoich i czy wogóle będę miał możność i ochotę pisać dalej.

Środa, 1 lutego.

Wciąż ta sama niepewność, ta sama nieświadomość co do warunków zawieszenia broni. Poligny,

jako klucz do pozycyi Prusaków w górach, strzeżone jest bacznie; na wszystkich ulicach i przejściach stoją straż. Wolno wejść, ale wyjść trudno. Ja, o ile nie spędzam czasu w merostwie, przesiaduję w moim gabinecie, lub w ogrodzie. Nie mogę patrzeć na rabusiów.

Po południu przeszła przez miasto kolumna, złożona z tysiąca pięciuset jeńców francuskich, zapewne z armii Bourbakiego.

Pamiętam wybuchy narodowej dumy, gdy w r. 1855 i 1859 nasi żołnierze, powracali z Krymu i z Włoch. Wobec takich wspomnień jest mi jeszcze boleśniej patrzeć na tych samych żołnierzy, pędzonych jak bydło z rozbrojonymi dowódcami na czele.

Na widok tego żałobnego orszaku, odsłaniamy głowy i lzy napływają nam do oczu. Byłbym sobie oszczędził tych smutnych wrażeń, gdyby nie nadzieja że zdołam wsunąć tym biedakom kilkanaście butelek wina. Jakoż udało mi się to szczęśliwie.

Wybory mają się odbywać 8-go, jutro 2 gi. Czyżby najeźdźcy mieli zamiar odebrać nam prawo głosu?

Rozmawiałem dziś na placu z adjunktem; nie wyglądaliśmy wojowniczo, a jednak szyldwach, widząc, że nie przechodzimy dość prędko, zawołał: „Fort!” i poparł swój rozkaz tak silnem uderzeniem pięścią w plecy, że omal nie runąłem na ziemię. Widzieli to oficerowie i uśmiechali się pod wąsem.

Czwartek, 2 lutego.

Jedno i to samo. Mówią, że zawieszenie broni

zostało ogłoszone we wszystkich miastach okolicznych: czemuż pominięto Poligny?

Przez chwilę zaświtała nam nadzieja.

Generał francuski, dowodzący subdywizją Jura, wracając z Champagnol, głównej kwatery pruskiej, przybył tu jako parlamentarz.

Zaprowadzono go do plac-komendanta pod eskortą. P. Henryk Cler i ja, stanęliśmy przy drzwiach, spodziewając się, że z ust generała usłyszymy wieść o wyzwoleniu.

Czekaliśmy z pół godziny, wreszcie widzimy go wychodzącego z adjutantem, obaj idą z zawiązanymi oczyma, prowadzeni do obozu, jak niewidomi. Adjutant kaszlał okropnie. Wyjechali w mroźną noc w otwartym powozie. Niepodobna było zbliżyć się do nich.

Rozstaliśmy się z p. Cler¹⁾ w milczeniu.

Jutro będzie tydzień, jak nie wiemy, co się dzieje po za przedmieściami.

We wszystkich sąsiednich departamentach naczelnicy pocztowi dokazywali cudów poświęcenia i zręczności, aby przeniknąć tajemnicę depeesz pruskich.

W Jura, dyrektor poczt dowodzi, że ubliżałoby jego godności prowadzić kontrabandę, a więc dla zacho-

¹⁾ P. Cler był przywódcą stronnictwa radykalnego, lecz w takiej chwili nikt nie myślał o różnicy przekonań politycznych; nad wszystkim górował interes kraju, neutralizując nasze pole działania.

wania godności tego głupca, jesteśmy skazani na tortury niepokoju.

9-ta wieczorem.

Jutro p. Lamy spróbuje przedrzeć się przez linie Prusaków i dojechać do Lons le-Saulnier. Oddaję mu moje bazgraniny. Czy też cię dojdą?

II.

Piątek, 3 lutego.

Otrzymałeś już zapewne, kochany Leonie, gruby zeszyt w którym skreśliłem moje wrażenia z tego straszego tygodnia.

Dziś, nic nowego, chyba to tylko, że Prusacy uwzięli się, aby nas zrabować do szczytu i ogłosić zawieszenie broni dopiero wtedy, gdy już nie będzie nic do zagarnięcia.

Dziś rano mieliśmy nowy najazd; ja jestem zwykłe obdarzony hojnie: dostał mi się kapitan, porucznik i sześciu żołnierzy z korpusu nadreńskiego. Żołnierze znośni, ale oficerowie, niemożliwi, zwłaszcza porucznik, drab w okularach, zajmujący się instalacją. Niczem mu nie można dogodzić, co chwila wpada w złość i klnie zawzięcie.

Kazał sobie dać inne meble, choć tamte były dobre dla pułkownika, nawymyślał mi, a wreszcie chciał z nami jadać razem. Odmówiłem stanowczo, dając mu do zrozumienia, że prawo kwaterunkowe nie nakazuje nam znosić jego towarzystwo. Będę jadał na ławie kuchennej, skoro żołnierze czyszczą obuwie na stole.

Nic nie słyhać o wyborach; jesteśmy wciąż odcięci od świata.

Sądziłem, że namiętności polityczne zostały przysłuszone wspólną niedolą, tymczasem budzą się w najlepsze, obawiam się, że stronnictwo radykalne skorzysta z fatalnych okoliczności, aby się utrwalić.

Sobota, 4 lutego.

Dziś rano, wracając do domu, spotkałem K. Amyon, zawsze tego zapalczywego artystę — był niezwykle wzburzony.

— Ci nędznicy! — rzekł do mnie — dotychczas oszczędzali jeszcze nasz kościół. Teraz porywają się i na świątynię. Jutro rano o 9 ej chcą odprawić nabożeństwo protestanckie w naszej starej kolegiacie.

Doniesiono mi, że proboszcz mnie wzywa. Udałem się natychmiast na plebanię. Znam ks. Bounefay, jest nieśmiały, lecz odważny, takim był zapewne Bourdaloue. Ja, który mam odwagę inną, wrzącą, trochę hałaśliwą, czuję, że jego wyższa, wznioślejsza, bo zaczerpnięta u źródeł głębokiej wiary.

Ks. Bounefay zasięga mego zdania co do owej notyfikacji. Chciałby ich skłonić do odprawienia nabożeństwa w kaplicy kongregacyjnej. Dowodzę mu, że nie przyjmą zamiany, bodaj dlatego, że w korpusie armii jest cztery tysiące ludzi, a kaplica może pomieścić zaledwie trzysta.

— Co do zasady — dodaje nieśmiało — choć nie jestem biegły w prawie kanonicznem, sądzę, że skoro protestanci są chrześcijanami, więc ich obrządeknie skłaniały naszej świątyni. Wszak w Montbéliard istnieją kościoły, w których katolickie i protestanckie nabożeństwa odprawiane bywają kolejno.

Proboszcz słuchał mnie, jak zwykle, z oczyma spuszczone, długo milczał, wreszcie przyznał mi odrobinę słuszności. Pozostawiłem go zrezygnowanym, lecz bardzo smutnym.

Po nabożeństwie protestanckiem, o jedenastej odbędzie się Msza katolicka, odprawiona przez niemieckiego kapelana.

Niedziela 5 lutego.

Tysiąc pięćset jeńców przeszło przez nasze miasto; idą do Pontarlier,, Obdarci, zgłodniały, wycieńczeni, a mają jeszcze przed sobą dwadzieścia kilometrów. Pomimo srogich zakazów, otrzymali od nas chleb i wino; jutro zabraknie go nam może, ale ktoby o tem myślał wobec takiej nędzy rodaków.

Nie odwołano wyborów, nie wydano żadnych instrukcyj, W takich warunkach mamy dawać głosy za ludźmi, którzy będą orzekali w izbie o życiu lub śmierci narodu. To okropne!

Gdy skarżymy się przed którymkolwiek z oficerów, że nas wyłączono od wszelkich korzyści zawieszenia broni, każdy przyznaje nam słuszność i obiecuje, że jutro najpóźniej prawa jego i przywileje armistycjum będą obowiązywały w Jura, ale nazajutrz stosowany jest ten sam system ucisku i grabieży.

Baron Manteuffel, dowodzący armią południową, przybył wczoraj do Poligny wraz ze sztabem głównym i rozłasował się w domu pani Chevassu. Ten Manteuffel jest żołnierzem i politykiem wedle serca Wilhelm. On to w r. 1866, opanowawszy Frankfurt, nałożył na to miasto kontrybucję w wysokości 60 milionów. Zrozpaczony syndyk życie sobie odebrał, ale

tem niemniej Manteuffel, nie ustąpił ani talara od 60 milionów.

Strach pomyśleć, że jesteśmy w szponach takiego sępa. Dla należytego uczczenia gościa, plac-komendant kazał oczyścić wszystkie ulice, zamieść śnieg z błotem zmieszany od kopyt końskich i nóg ludzkich. Spełniono ten rozkar o wiele szybciej, niż gdyby go wydała nasza municypalność. Tenże komendant kazał otworzyć wszystkie sklepy, pozamykane przez właścicieli skutkiem grabieży: odtąd będą one pod opieką władz pruskich. Piękna gwarancya!

Jeden z moich oficerów, *Mossieu le Capitenne*, jak powiada porucznik, został usunięty ze swego pokoju przez młodego oficera rosyjskiego, który należy do sztabu głównego gen. Manteuffla. Jest to chłopak dziesiętnastoletni, odznaczony już żelaznym krzyżem. Mój porucznik nie może mu darować, że już pozyskał tę dekoracyę, choć jess cudzoziemcem, wówczas gdy on, Prusak, niema żadnej. Dolewam jeszcze oliwy do ognia, sławiąc uprzejmość, dobre wychowanie i piękne maniere tego człowieka.

Poniedziałek, 6 lutego.

Żadnych wieści, a coraz nowe żądania najeźdźcy. Nie wolno już magistratowi wyznaczać kwaterunków. Władze pruskie wypisują na drzwiach każdego domu, ile ma utrzymać ludzi i koni.

Rajcowie miejscy prosili o audyencyę u generała Manteuffla, aby mu przedstawić smutną sytuacyę. Odpowiedziano nam, że generał armii Południowej opuszcza jutro Poligny i że na jego miejsce przybędzie generał Franséchi; mamy się zwrócić do niego.

Trudno sobie wyobrazić do jakiego stopnia dochodzą nadużycia.

Mam w stajni pięć koni, które mają w żłobach więcej siana i słomy, niż zjeść mogą, a wiesz jak teraz trudno o słomę z powodu zeszłorocznej posuchy. Niemców to nie obchodzi, muszą mieć wszystkiego wbród, a gdy dostaną, poprostu marnują i tak naprzykład, zamiast do żłobów, rozsypują owies po stajni; nie dość na tem, wsród owsa znaleziono dwa funty kawy.

Baron Manteuffel tak zasmakował w winach z piwnic p. Chavassu, że wczoraj pił Château-Châlon pełnemi szklanicami jak piwo i tak się uraczył, że musiano zaprowadzić do łóżka Jego Ekscelencyę naczelnego generała armii południowej.

Wtorek, 7 lutego.

Generał Manteuffel wyruszył dziś rano ze sztabem głównym i ogromnym taborem. Miałem szczęście go oglądać. Ma lat siedmdziesiąt, ale wygląda na więcej; skóra pomarszczona, broda rzadka, coś zwierzęcego w twarzy, oczy ukryte za okularami, nie przyćmiewające nic jednak dzikości spojrzenia. Ten wielki dowódca jest praktyczny: jeźdźcy z jego orszaku otaczali trzy wozy, naładowane winem pani Chavassu.

Pokazywano mi wśród eskorty syna Bismarcka; podobny do ojca, ta sama drapieżność spojrzenia, brak jednak błysku genialności.

Miasto opustoszało; można przynajmniej oddychać, bo zbóje nie zatruwają powietrza. Jutro zapewne zjawią się nowi.

Środa, 8 lutego.

Moje przewidywania sprawdziły się. Mamy znowu niespodziankę: od dziewiątej zrana poczęły napływać dwa pułki piechoty i zalały miasto, biorąc domy szturmem. Dostało mi się dwóch podoficerów i dziewięciu żołnierzy. Nie doznałem jeszcze nigdy takiej brutalności i nie widziałem takich gburów.

Chcąc zapomnieć o Prusakach, idę na wybory, ale i tam czekają mnie przykre wrażenia. Można było sądzić, że namiętności polityczne już się uspokoiły, tymczasem szaleją w najlepsze.

Czwartek, 9 lutego.

Poligny znowu zalane: mamy generała głównodowodzącego, generała dywizji, dwóch generałów brygad, 170 oficerów, 2,000 żołnierzy, 800 koni, — wszystko to pozostanie aż do końca zawieszenia broni. Wczoraj miałem dwóch podoficerów i dziewięciu żołnierzy, dzisiaj dla odmiany dają przymusową gościnę czterem oficerom i ośmiu żołnierzom. Oficerowie obstalowali sobie jedzenie, nie troszcząc się o godziny naszych posiłków.

Wieczorem siedzieliśmy przy stole w kuchni, gdy jeden z tych panów przyszedł wydać jakiś rozkaz. Ujrawszy nas tutaj, zmieszał się i prosił, abysmy jutro zechcieli jeść z nimi. Nie przyjąłem tego zaproszenia do własnego stołu.

Rezultat wyborów w okręgu Poligny znakomity: lista umiarkowana wyszła w komplecie.

Piątek, 10 lutego.

Dzień pełen walk i obaw. Zrana, o dziewiątej, zebraliśmy się w merostwie; po długich naradach posta-

nowiono udać się do generała Trauséchi, aby mu przedstawić, do czego miasto zostanie doprowadzone za dni kilka, jeżeli przy tak zwiększonej konsumpcji nie będzie mogło zaopatrywać się w produkty z zewnątrz; mieliśmy też prosić o przywrócenie komunikacji kolejowej, pocztowej i telegraficznej. Wybrano komisję z trzech członków dla zredagowania i przedstawienia adresu. Należę do tej komisji, ułożyłem odezwę. Przyjęto ją bez zmiany.

W chwili, gdy wychodzimy z merostwa, aby się udać do generała, plackomendant i oficer intendenty, wzywają mera w ważnej sprawie. Czekamy, przewidując, że to nam szyki pomiesza. Istotnie, owi panowie oznajmili, że wedle rozkazu ich cesarza, miasto Poligny ma zapłacić po 50 fr. od głowy, czyli ogółem 287,000 fr.

Znowu rozpoczynamy narady; jedni są za pertraktacjami, z najeźdźcą i chcą domagać się zmniejszenia kontrybucji, drudzy, a do tych i ja należę, twierdzą, że najlepiej odmówić stanowczo. Moje zdanie przeważa. Układamy odpowiedź — mer czyta ją głośno, ale doszedłszy do miejsca, w którym przedstawiamy wyzysk wroga i naszą niedolę, musi przerwać, bo go łyzy duszą. Wzruszenie ogarnia wszystkich.

Przypomniałem sobie w tej chwili epizod z czasów spokojnych i szczęśliwych. Niegdyś nasz artysta Amyon grał nam swoją ulubioną sonatę Mozarta. Przed rozpoczęciem *andante*, w którym uczucie tak rzewne, oderwał smyczek i szepnął: „Teraz wszyscy kochają się wzajem!”

Nadeszła dla nas chwila, w której wszyscy kochają się wzajem, darowują osobiste urazy.

Odpowiedź miała nadejść za godzinę; obradowaliśmy jeszcze nad innymi sprawami, gdy zameldowano nam wysłańca generała. Wobec stanowczej odmowy, najeźdźca próbuje perswazyi, pyta czy nie mamy bankiera, któryby nam mógł dostarczyć pieniędzy; prosi, byśmy wskazali wysokość sumy, odpowiadającej naszym środkom. Tłómaczymy, że nie możemy nie zapłacić, bo miasto i jego mieszkańcy pozbawieni są wszelkich środków.

Niedziela 12 lutego.

Mer i członkowie rady uzyskali wreszcie audyencyę u gen. Trauséchi. Przekładał im, że choć nie stawialiśmy oporu, tak jak inne miasta i departamenty, nie możemy stanowić wyjątku z pod ogólnego prawa i musimy płacić na równi z innymi.

Urzędnik intendentury, którego, mówiąc nawiasem, złapałem na gorącym uczynku kradzieży u p. d'Arcim, radził nam, abyśmy zaciągnęli pożyczkę u żydów, którzy im towarzyszą i dopomagają do rozmaitych szalbierstw. Odpowiedziano temu łotrowi, że choćbyśmy tak dalece pragnęli zapłacić kontrybucyę, jak nie chcemy, to jeszcze wolelibyśmy oddać miasto na rabunek, niż uciekać się do takiej pomocy.

Na domiar nieszczęść grasuje czarna ospa; sześć osób umarło dzisiaj; jeśli epidemia nie ustanie, liczba mieszkańców, a tem samem i cyfra kontrybucyi znacznie się zmniejszy.

Poniedziałek, 13 lutego.

Krążą złowrogie wieści: major, który mieszka u poborcy podatków, ostrzegł go, że ponieważ miasto nie chce płacić kontrybucyi, zatem postanowiono wziąć

jako zakładników, wszystkich znaczniejszych obywateli. Idę na zwiady; podobno umieszczono mnie na czele owej listy. Pomimo to będę obstawać, aby nie płacić ani pół franka.

Wtorek, 14 lutego.

Byłem w merostwie o wpół do dwunastej rano, gdy przybył tam plac-komendant, aby oznajmić, że zawieszenie broni ogarnia całą Francyę.

— Nie zmieni to jednak sytuacji Poligny — dodał — mieszkańcy tutejsi muszą zapłacić po pięćdziesiąt franków od głowy. Gdyby miasto odmówiło, weźmiemy wybitniejszych obywateli na zakładników.

Zbieramy się znowu o trzeciej na naradę i postanawiamy stawiać opór. Co też oni uczynią? Czy nas osadzą w więzieniu. Wobec blizkiego pokoju byłoby to fraszką.

III.

*Piątek, 17 lutego.
Z więzienia w podprefekturze.*

Nie pamiętam już, kochany Leonie na czem stanąłem w dzienniku, który pozostał u mnie w domu. Donosiłem ci, zdaje się, że na ostatniej sesji odpowiedzieliśmy stanowczo, iż nie zapłacimy kontrybucyi wojennej. Po tej odmowie było głucho; przeczuwając, że to milczenie nie zapowiada nic dobrego, urządziłem się w ten sposób, aby moja rodzina nie ucierpiała w razie, gdybym został podniesiony do godności jeńca i zakładnika.

Była to przezorność chwalebna. 14-go o wpół do siódmej, w chwili gdyśmy jedli obiad — na ławce kuchennej, zameldowano mi, że oficer pruski chce widzieć się ze mną natychmiast.

Wyszedłem i ujrzałem wspaniałego dragona; przeprosił mnie, że musi spełnić przykry obowiązek, ale wobec oporu miasta, odmawiającego wypłaty kontrybucyi, generał głównodowodzący postanowił osadzić w więzieniu czterech wybitniejszych obywateli; byłem pierwszy na tej liście. Za pół godziny miałem się stawić w podprefekturze, którą nam przeznaczono na więzienie.

Dragon pozostawił mnie pieczy podoficera, ten oglądał każdą sztukę bielizny i ubrania, którą pakowałem do podręcznej walizki i wreszcie zaprowadził mnie na miejsce przeznaczenia.

Zastałem już u drzwi podprefektury p. Paris, czekał aż p. Faulque, zastępca podprefekta, raczy otworzyć apartament, który miał nam służyć za więzienie. Po mnie przybył p. Badeune, znany skąpiec; jest w rozpacz, że musiał pozostawić dom i cały swój majątek na łasce i niełasce Prusaków. Załamuje ręce, bije się nogami po łydkach — niepodobna go skłonić do przyzwoitszego zachowania.

Przybywa czwarty zakładnik, p. Fatau, następnie plac-komendant stwierdza tożsamość naszych osób, każe nam drzwi otworzyć i po prusku zmywa głowę p. Faulque za to, że kazał nam czekać tak długo.

Oddają nam do rozporządzenia resztę mebli, którą pozostawili żydzi, sprzymierzeńcy armii pruskiej. Każdy z nas otrzymuje po materacu, nic więcej. Posyłam do domu po resztę pościeli i kładę się w saloniku, gdzie zeszło mi tyle chwil przyjemnych u podprefekta Viroux.

Gdyby mi kto był powiedział wtedy, że za półtora roku znajdę się tu w podobnych warunkach, nie chciałbym wierzyć.

Pp. Paris i Fatau są spokojni i zrezygnowani, tak jak ja. P. Badeune miota się, oplakuje swoją piwnicę, swoje papiery, swój dom i wszystko, co w nim pozostawił. Staramy się go namówić, aby spoczął w sąsiednim pokoju, ale dowodzi, że będąc jeńcem i zakładnikiem narówni z nami, ma prawo spać w jednym pokoju.

Dowiadujemy się dlaczego nas wybrano. We wszystkich miastach zajętych przez Prusaków, agenci francuscy nie chcieli wskazać osób zamożniejszych i posiadających wpływy. W Poligny stoimy po nad takimi skrupułami i agenci, do których się zwracano udzielili wszelkich wskazówek, a nawet poborca podatkowy w swej gorliwości, zaliczył p. Fatau do rzędu bogatych obywateli, dodawszy do jego dochodów majątek jego pasierba, dziesięcioletniego chłopczyka. Temu p. Fatau zawdzięcza obcowanie przymusowe z p. Badeune.

Wyznaczono nam dwa pokoje i ubieralnię. U drzwi dniem i nocą stał szyldwach z nabitym karabinem. O pierwszej, dyżurny oficer przychodzi nas obejrzeć i policzyć.

Dziś rano śliczna pogoda. Napisałem do plac-komendanta, prosząc, aby nam pozwolił przejść się po ogrodzie, zamkniętym i opasanym dokoła palisadą. Porządkujemy nasz apartament. P. Badeune zamieniłby go w stajnię, gdybyśmy go nie gromili za nieporządek. Scielemy łóżka, zmiatamy, froterujemy, żeby pokazać wrogowi, żeśmy nie stracili fantazyi.

O jedenastej jesteśmy wezwani do plac-komendanta. Oznajmia nam, że możemy użyć spaceru, wieczorem lub rano, jak nam się podoba, byle nie trwał dłużej nad godzinę. Próbujemy uzyskać godzinę rano, godzinę wieczorem. Zezwala. Oświadczą nam jednak, że jutro wyjeżdża i że daleko sroższe przepisy zostaną wprowadzone niebawem. Rozumiem co znaczy ta pogroźka i nie trwożę się.

Korzystamy z pozwolenia i wychodzimy do ogrodu, ale nieustanny nadzór zmniejsza o wiele przy-

jemność spaceru, Krok w krok idzie za nami szyldwach, chcąc nas zastraszyć, nabija broń w naszej obecności i klnie zawzięcie; po upływie godziny każe nam wracać grożąc kolbą i popychając pięściami. Bunt mnie ogarnia, miałbym ochotę powalić tego gbura.

Przynoszą nam jedzenie z domu. Sierżant stoi przy otwieraniu koszyków, pilnuje, aby do rąk naszych nie dostał się jaki strzępek zapisanego papieru.

Dostaliśmy karty i grywamy bezustanku, ale musimy niebawem zaniechać partyj we czterech z powodu nieobyczajności p. Badeune. Nie dość, że nam dokucza na każdym kroku, jeszcze nas ośmiesza i poniża wobec Prusaków swoim brakiem godności, pochlebstwem, lizaniem rąk dozorców,

Doświadczyłem już na sobie, jak prędko więzienie uczy chytryści i podstępów: znalazłem sposób porozumiewania się z rodziną. Gdyby nas uwolniono od towarzystwa imię pana Badeune, byłoby znośnie.

Sobota, 18 lutego.

Dzisiejszy nasz dozorca wcale niezły. Częstowaliśmy go winem, wódką i dzięki temu mogłem ucałować moją córeczkę, która ze służącą przyniosła mi śniadanie. Wczoraj widziałem ją tylko przez okno w domku stolarza naprzeciwko. Upatruje on codzień chwilę, aby mnie pozdrowić i zapytać czego mi trzeba.

P. Pâris, siedmdziesięcioletni staruszek, już jest zmęczony tym trybem życia i pragnie, aby miasto weszło w porozumienie, uważa dalszy opór za niedorzeczny. P. Fatau i ja, gotowi jesteśmy znieść cierpliwie tę sytuację w nadziei, że uwolnimy miasto od ciężaru, to też prosiliśmy mera, aby nasz los nie wpływał na uchwałę w sprawie kontrybucyi.

Zdaje mi się, że municypalność jest nam za to wdzięczna. Dziś rano adjunkt, przechodząc przed naszymi oknami, rzucił mi od ust pocałunek.

Choć nasz dozorca nie jest tak srogi, jak poprzedni, trzyma się jednak przepisów i pozwala nam wychodzić po za obręb naszego apartamentu jedynie w godzinach, wyznaczonych na spacer.

Kończy się już zapas drzewa, dopalamy ostatnią świecę, musimy iść spać z kurami. Kończę już, bo zmrok zapadł i brak papieru.

Niedziela, 19 lutego.

Kalendarz nas upewnia, że to niedziela, inaczej nie spostrzeżelibyśmy tego, bo tryb życia niezmienny. Dziś, jak dwie krople wody, podobne do wczoraj.

Rano, podczas spaceru, odwiedził nas pułkownik, mianowany plac-komendantem. Jakiś drab nieubłagany. Nie umie ani słowa po francusku, w swoim rodzinnym języku próbował nam wyluszczyć, że jeśli miasto nie zapłaci kontrybucyi, my czterej będziemy odstawieni pieszo do Berlina. Daliśmy mu do zrozumienia na migi, że te groźby nie skłonią miasta do kroku tak niedorzecznego i niemożliwego. Staraliśmy się wlać w naszą odpowiedź tyle spokoju, ile on włożył wściekłości w swoje żądanie.

Po jego odejściu dozór został obostrzony; przetrząsają nasze prowizye. Jutro czeka nas zapewne niespodzianka.

Poniedziałek, 20 lutego.

Srogość dozoru jednakowa. Przed gmachem stoi

wciąż szyldwach i nie pozwala zatrzymać się na ulicy.

O drugiej, w chwili gdy szyldwach znajdował się na najdalszym punkcie swej wędrówki, adjunkt, ukryty na strychu w domu stolarza, zdołał nas uwiadomić, że uwięziono 32 rajców miejskich za to, że nie chcieli przystać na wypłatę kontrybucyi. Czy też nas pomieszczą tutaj w czterdziestu?

Dla rozerwania myśli, siadamy do bezika: jeden z rajców pod eskortą oficera intendenty przybywa nam oznajmić, że jesteśmy wolni, ale pod słowem honoru.

Radość ustępuje wobec wieści, że nas wypuszczono tylko pod warunkiem, że jutro we wtorek, my czterej i tamci 32 wniesiemy piętnaście tysięcy, a drugie tyle we środę.

Wracam do domu o tyle rad z uwolnienia, o ile to możliwe w takich warunkach.

Cztery noce, przespane na ziemi i na przeciągach, nabawiły mnie takiego bólu gardła, że będę musiał poprosić, aby mnie uwolniono od obowiązku zbierania owych trzydziestu tysięcy wśród obywateli.

Jeżeli pokój nie zostanie zawarty przed środą, każą nam zapewne płacić drożej. Przewiduję mnóstwo nowych roszczeń.

O szóstej wieczorem jestem powołany do merostwa na naradę z pp. Pâris i Faton. Mamy dowiedzieć się, co uczyniono podczas naszej nieobecności i powziąć uchwały na przyszłość.

Miałem chotę wyrazić zdumienie merowi i rajcom, że dopóki chodziło o naszą skórę, nie zgodzili się na żadne ustępstwa, lecz gdy Prusacy wyciągnęli po

nich swe szpony, nie radząc się nikogo, ci panowie postanowili zapłacić trzydzieści tysięcy franków.

Dałem jednak pokój wymówkom, znajdując, że to sprawy nie zmieni, oświadczyłem tylko, że rzucamy tę sumę w błoto, gdyż Prusacy nie są tak naiwni, aby, otrzymawszy trzydzieści tysięcy, nie domagali się pozostałych dwakroć pięćdziesięciu siedmiu, a ponieważ nie jesteśmy w możności wypłacić takiej sumy, zatem pójdziemy znowu pod klucz. Co do mnie, znajduję, że jeśli już być zakładnikiem, to lepiej o 287,000 franków, niż o 257,000, bo przynajmniej zaoszczędzi się 30,000 fr.

Radca generalny, trochę zakłopotany odpowiedzialnością, którą na siebie przyjął, uznaje, że miałbym słuszną, gdyby nie odliczano owych trzydziestu tysięcy franków od ogólnej sumy i dodaje, że według niego, Prusacy będą musieli na tem poprzestać.

— Pragnę gorąco, aby dalsze wypadki zadały kłam moim przypuszczeniom.

IV.

Zebrano trzydzieści pięć tysięcy franków w parę godzin. Uwolniłem się wprawdzie od obowiązku ściągania składek, lecz natomiast czekała mnie inna przykrość.

Wracałem właśnie do domu, gdy ogrodnik oznajmił, że moi lokatorowie przyprawdzili towarzysza broni tak osłabionego chorobą, że musieli go podtrzymać, żaden mu jednak swego łóżka nie odstąpił, położyli go na ziemi i okryli starą derką.

— Żal patrzeć na tego biedaka—mówił ogrodnik—nie może słowa wymówić, nie może oddychać. Położyłem go na łóżku.

Przechodził właśnie mój lekarz domowy, człowiek szorstki, ale bardzo zacny.

— A niech tam zdycha! — zawołał — Jednego mniej na świecie.

Ale w tej chwili opamiętał się.

— Nie idę nigdy za pierwszym popędem—rzekł—choć to Prusak, ale zawsze człowiek. Nie porzucę dla niego moich chorych, ale jeżeli pan chce spełnić uczynek miłosierny, to proszę mu postawić suche bań-

ki na piersiach, zanim lekarz pułkowy raczy go odwiedzić.

Spełniłem ten przepis natychmiast; najeżyłem mu piersi kieliszkami od wina Bordeaux, które nabrały odrazu sinemi pęcherzami.

Co za nędza! Biedak miał na sobie koszulę aż czarną, popstrzoną od wszelakiego robactwa, a ciało pokryte jakby strupami — po przyjrzeniu się, zobaczyłem, że to brud.

Po bańkach doznał ulgi, umieściłem go lepiej w łóżku i owinętem kołdrą.

Otworzył usta, chciał widocznie coś powiedzieć sądziłem, że mi podziękuje.

— *Moussie!* — rzekł z twarzą wykrzywioną sztyrczo — *moussie, Metz, capaute! Parisse, capaute!*

Mój pierwszy popęd nie był dobry, jak u doktora, miałem ochotę potłuc mu na twarzy kieliszki, które mi służyły do stawiania baniek, ale uspokoilem się, myśląc, że właściwymi zbrodniarzami nie są ci nieświadomi prostacy, lecz dowódcy, którzy w nich wleli ślepią nienawiść.

W chwili tej właśnie wszedł najgrzeczniejszy z moich oficerów, opowiedziałem mu jaką dostałem zapłatę za moje usługi.

— Mam nadzieję — dodałem — że mnie pan uwolnisz od tego psa wściekłego.

W godzinę potem nadeszły nosze ze szpitala, złożono chorego, ponieważ jednak na noszach był tylko materac, kazałem go okryć moją kołdrą, polecając jednak ogrodnikowi, aby poszedł za nim do szpitala nie dla powzięcia wiadomości o jego zdrowiu, lecz dla zabrania kołdry z powrotem.

Tego samego wieczoru, o piątej, wyliczono piętnaście tysięcy franków pułkownikowi. Oświadczyliśmy, że nie wiemy zkąd wziąć drugie tyle i prosiliśmy go o zwłokę.

— Poczekam do pojutra — oświadczył — ale pod warunkiem, że w tym dniu wypłacicie całą resztę, to jest 273,000 fr. kontrybucyi.

Wszyscy oświadczyliśmy jednogłośnie, że to jest niemożliwe.

— Milczeć! — krzyknął pułkownik, a potem wrzeszczał po niemiecku, uderzał w stół pięścią i szablą, kasał nas oczyma.

Tłómacz wyjaśnił, że zwycięzcy nie darują nam jednego solda i potrafią nas zmusić do zapłaty. Mają poczekać do jutra na drugie piętnaście tysięcy franków. Teraz dopiero członkowie rady miejskiej przekonywują się, jak wielkim błędem było uiszczenie pierwszej raty.

A zatem do jutra, do nowych walk i obaw o nasz kraj, o nasze ogniska domowe. Cokolwiek wyniknie, jestem za stawianiem bezwzględnego oporu. Wiem, że Prusacy nie zawahają się przed niczem, wątpię jednak, aby podczas zawieszenia broni, dopuszczali się rabunku. Dość już, że pozwolili sobie brać zakładników.

Środa, 22 lutego.

Dzisiaj spokój, cisza, poprzedzającą burzę; na cały powiat nałożono podatek po 25 franków od głowy. kilku merów przybywa do mnie z zapytaniem? co począć?

Radzę im stawiać opór. Ale czyż to słowo ma jakąkolwiek doniosłość wobec wyuzdania przemocy?

Gmina X. znalazła się haniebnie; na pierwsze zażądanie wyplacono dziesięć tysięcy franków, to jest tyle, ile wynosiła kontrybucya.

Wobec takiego precedensu, inne gminy, najbiedniejsze nawet, będą musiały wyzuwać się ze wszystkiego. Już dziś, na nasze skargi, Prusacy odpowiadają:

— A gmina X?

O siódmej wieczorem zbieramy się w merostwie w pełnym komplecie trzydziestu dwóch. Pułkownik przybywa z czterema urzędnikami intendentury i sekretarzem. Każe liczyć i sam oblicza pieniądze, jak handlarz wołów.

Po otrzymaniu piętnastu tysięcy, zaczyna się dyskusya: pytają nas, kiedy wypłacimy resztę. Odpowiadamy, że miasto już jest wyczerpane, że prosimy o dwa dni zwłoki, dla nowych starań i obiecujemy wnieść wszystko, co się da zebrać. Ciężcey żądają, abyśmy określili sumę — tłumaczymy, że to jest niemożliwe. Pułkownik wrzeszczy, tłukąc w stół pięściami.

— Tak być nie może! Tak być nie może! — wołał. — Napiszcie odrazu na tym arkuszu, że nie chcecie płacić!

Domyślamy się podstęp: taką odmowę chce doprowadzić generała do wściekłości i skłonić go, aby mu dał upoważnienie do użycia środków gwałtownych.

Oświadczamy wręcz, że nie złożymy takiej deklaracji. Pułkownik zrywa się, przyskakuje do nas z pięściami i oznajmia, że będziemy trzymani pod kluczem, aż do uiszczenia całej kontrybucyi; powiedziawszy to, wychodzi ze swoją sforą. Żegnamy go okrzykami

oburzenia. Dziś, przy Popielcu. ten brutal i wyzyskiwacz przypomina nam, że jesteśmy marnym prochem.

Czwartek, 2 lutego.

Sesya odbywała się w gabinecie mera; po jej ukończeniu wielka sala zapełniła się żołnierzami, u naszych drzwi postawiono czterech. Otwieramy okna i prosimy przechodniów, aby nam kazali przynieść kołdry i materace, ale żołdactwo rozpędza tłum kolbami; wzbrania nam przystępu do okna, nie pozwala nam nic przysyłać.

Jest nas trzydziestu dwóch, w tej licznie paru starców, kilku sędziwych oficerów, wszyscu niewinni; jedyną naszą zbrodnią, że chcieliśmy ustrzedz miasto od ruiny, a mimo to obchodzą się z nami, jak z ostatnimi recydywistami.

Za więzienie służy nam gabinet mera i drugi pokój, nie większy; oba mają po piętnaście metrów kwadratowych; ani jednego materaca, ani jednej kołdry, ani wiązki słomy, nic, oprócz tuzina krzeseł. Najstarsi siadają na nich, inni kładą się na chłodnej ziemi.

Dzięki doświadczenin, zdobytemu w gmachu podprefektury, przewidując, co może wyniknąć, przyniosłem ze sobą szlafrok i pantofle; owinąwszy się szczelnie, położyłem się na drewnianym kufrze mera. Miałem kolana przy brodzie, cierpły mi nogi i plecy, ale mogłem spać przez parę godzin; ja jeden, z pośród towarzyszków niedoli, nie ucierpiałem zbyt od chłodu.

Dzielniejsi grali w karty, znalazłszy talię w gabinecie; ale dziś nam je zabrano, żołdacy wyciągali pa-

pierosy i fajeczki z ust palącym. Konfiskowali nawet tabakierki. Zapomnieli tylko o zegarkach i chustkach.

Przynoszą nam śniadanie z domu, ale nie docho-
dzi nas wino, ciastka, wety, a nawet bułki; jesteśmy
skazani na chleb i wodę.

O trzeciej wezwano czterech z nas do wielkiej
sali przed oblicze pułkownika. Pyta, czy zdecydujemy
się wreszcie zapłacić kontrybucję. Odpowiadamy, że
to przechodzi naszą możność; wybucha gniewem, wola,
że choćbyśmy nie mieli pieniędzy, mamy wino, że za-
tem musimy go dostarczyć władzom pruskim za dwie-
ście pięćdziesiąt siedm tysięcy franków; w razie prze-
ciwnym nasze piwnice zostaną splądrowane.

Wracamy, aby się naradzić. Zwolennicy bez-
względnego oporu — jestem w ich rzędzie — wykazują,
że pozostają nam tylko dwie drogi: albo zgodzić się na
kontrybucję w gotówce albo odpowiadać odmownie na
wszelkie propozycje, tak nagłące i natarczywe dlatego
tylko, że pokój już bliski.

Stronnictwo, przechylające się ku ustępstwu, bie-
rze jednak górę małą wi. kszością głosów: postanawiają
ofiarować tysiąc hektolitrów wina, albo dwadzieścia
tysięcy franków gotówką.

Przesyłamy pułkownikowi spisana uchwałę; ten
ją odsyła bez odpowiedzi. Zły znak. Odczuwamy to
niebawem: do ósmej trzymają nas bez obiadu. Pod
pozorem ważnego interesu do sekretarza, udaje mi się
wreszcie przedrzeć przez linię żołdaków do sekretaryatu.
Widzę tam nasze kosze z prowizjami: pułkownik po-
lecił, aby nam nie dawano przed jego powrotem,
a gdyby nie wrócił, aby nas pozostawiono o chlebie
i wodzie.

Mój ogrodnik, który w tych ciężkich chwilach
okazywał mi wierność i przywiązanie starego sługi, nie
dał odpędzić się od koszyka. Widząc mnie, wyciąga
rękę, niby na powitanie i wsuwa mi flaszkę starej wód-
ki. Częstuję nią starców, potrzebujących bardziej ode-
mnie wzmocnienia.

U drzwi naszego więzienia widzimy pułkownika
Dietz, pierwszego Prusaka, którego musiałem wziąć na
kwaterę. Przybył nas uprzedzić, abyśmy nie obstawali
przy naszym oporze, albowiem narazimy miasto na
rujnującą egzekucję.

— Byłby to wyścig garnka glinianego z garnkiem
żelaznym.

Chcieliśmy na to odpowiedzieć, gdy zjawił się
drugi pułkownik. Trzeba przyznać, że wygląda na zu-
cha, ale też i na drapieżnika. Zaczęli ze sobą szwar-
gotać, o ile mogliśmy zrozumieć, nasz prześladowca
czyni zarzut koledze, że ten namawia nas do oporu.

Byle ich kłótnia nie pozbawiła nas obiadu! Na-
reszcie o dziewiątej wieczorem wzywają nas kolejno
do drzwi i oddają nam koszyki. Mój ogrodnik wytrwał
do końca, wręcza mi prowizye i daje znak, że jest
tam niespodzianka, Otwieram koszyk i widzę na sa-
mem dnie zręcznie ukrytą butelkę najlepszego wina
bordeaux z mojej piwnicy. Częstuję wszystkich, a naj-
hojniej starych.

Jestem już wyczerpany czterodniowym więzieniem
w podprefekturze i noclegiem na kufrze, ale trzeba się
krzepić, bo czekają nas zapewne gorsze próby.

Pomiędzy dwoma kawałkami chleba znajduję kart-
kę od mojej żony: donosi, że kwaterujący u nas oficer,

Ślązak, katolik, mówił jej, jakoby generał Franséchi był oburzony na wyzysk pułkownika, ale ten tłómaczył się, że działa wedle rozkazu kanclerza. Więc niema nadziei, aby mu przeszkadzano w robocie.

Piątek, 24 lutego.

Budzę się trochę pokręziony. Wczoraj wieczorem, po długich poszukiwaniach, znalazłem w głębi szafy stare trójkolorowe flagi i czapkę futrzaną. Bez najmniejszego skrupułu zrobiłem z tych emblematów materac, a z czapki — poduszczkę; następnie, owinąwszy się w szlafrok, wsunąłem się w kąt pokoju i byłbym zapewne spał do rana, gdyby wśród nocy nie obudził mnie ryk nieludzki. To znowu p. Badeune wrzeszczał w niebogłosy, Dziwna, że ten człowiek jeszcze żyje; nie śpi, nie je, wciąż jest na nogach, wciąż lamentuje, że Prusacy zagarną jego dobytek. Dziś w nocy, dwóch naszych towarzyszków niedoli, którym więzienie nie odjęło jeszcze ochoty do figłów, w chwili, gdy ciężkie wozy dudniły na ulicy, odezwało się tak głośno, aby ów skąpiec mógł słyszeć:

— Zajeżdża po nas karetą więzienną. Wyszła nas do Niemiec.

Usłyszawszy to, p. Badeune podniósł lament i zawodził tak głośno, że niepodobna było zmrużyć oka.

O dziesiątej zrana otrzymaliśmy nowe uwiadomienie od rządu pruskiego: mamy trzy kwadranse do namysłu, jeśli po upływie tego czasu, nie zgodzimy się na kontrybucję, o dwunastej zostaniemy wyprawieni do Niemiec, a miasto będzie zrabowane.

Niema już pola do dyskusji; wszystkie argumenty: za i przeciw zostały wyczerpane. Poddajemy wniosek

głosowaniu; trzynaście głosów oświadcza się za oporem, piętnaście za poddaniem się.

A więc klamka zapadła. Dwóch notaryuszów, mer i ja, mamy oznajmić tę uchwałę naszemu prześladowcy.

Pułkownik uszczęśliwiony, gotów do wszelkich ustępstw w szczegółach, pozwala nam iść na obiad do domów, byleśmy wszyscy pod słowem honoru, stawili się tutaj o drugiej,

Otaczaliśmy go półkolem; ja stałem po jego prawicy; nagle odwraca się do mnie z wyciągniętą ręką i powiada:

— *Mettenant, mossié, amis!*

Przyszła chwila odwetu: zanurzyłem obie ręce w kieszeniach i odpowiedziałem mu krótko, ale dobitnie:

— *Argent — oui; la main — non!*

Odskoczył odemnie jak tygrys, ale nie dając za wygraną, z wyciągniętą prawicą podszedł do notaryuszów, którzy tak samo schowali ręce w kieszenie.

Kilku naszych współwięźniów było świadkiem tej sceny; dodała im humoru. Pułkownik musiał także schować ręce i wyszedł, mrużąc groźnie:

— Jeszcze z nami nie kwita!

Ma się rozumieć. znalazł sposobność, aby nam dokuczyć. O drugiej byliśmy wszyscy w komplecie. Pułkownik kazał nam czekać półtorej godziny. Ze względu na nasze zajście, wymawiam się od przyjęcia udziału w deputacji, która ma załatwić z nim sprawę — towarzysze czynią zadość memu życzeniu.

Pułkownik zachowywał się niemożliwie; krzyczał. kłął, rzucił się, jak ryba wyjęta z wody. Wreszcie po całogodzinnej walce, dzięki tylko oporowi naszych pełnomocników, kontrybucya została uszczuplona do 233,000 franków.

Postanawiamy prowadzić rokowania natychmiast, aby się prędzej oswobodzić. Po załatwieniu wszelkich formalności, chcemy wyjść w tem mniemaniu, że już jesteśmy wolni, lecz sztyldwach nas nie puszcza i oznajmia, że mamy pozostać.

Ta niska zemsta przejmuję nas oburzeniem, ja robię sobie wyrzuty, że utrudniłem sytuację przez moje wystąpienie wobec pułkownika i postanawiam wszelkich starań dołożyć, dla uzyskania sprawiedliwości. Podaję wniosek, aby nasze żony poszły do generała i uwiadomiły go, jak z nami postąpiono. Piszę zaraz list z prośbą o audyencyę i kreślę potrzebne wskazówki.

Na nieszczęście nikt nie chce zabrać tego listu, choć jest między nami dwóch członków rady miejskiej, nie będących zakładnikami. Mogli bez narażenia się zanieść listy naszym żonom, ale obaj wymówili się zrzęcznie i wyszli.

Potrzeba jest matką wynałazku, to też i ja wpadłem na dobry pomysł. Pod bardzo ważnym pozorem, wyszedłem do sekretaryatu, sztyldwach puścił mnie, sądząc, że mam pozwolenie oficera. W sekretaryacie było mnóstwo Prusaków. Chwytam kapelusze sekretarza, mieszam się w tłum pikielhaub i wychodzę tak spokojnie, że strażnicy nie podejrzewają ucieczki. Zstępowałem ze schodów powoli, nucąc jakąś wesołą piosenkę.

Wreszcie znajduję się na ulicy. Po kwadransie zebrałem już sześć dam znajomych oprócz mojej żony i uzyskałem dla nich audyencyę u generała.

Piękny to mężczyzna, wysoki, dość szczupły; bardzo zgrabny, ma twarz miłą i rozumną. Niktby go nie wziął za Prusaka.

Gdy mu prezentowałem damy, patrzył na mnie badawczo i spytał: kto ja jestem? Zmieszałem się w pierwszej chwili, odzyskałem jednak przytomność umysłu: gdybym powiedział, że jestem sędzią pokoju, tem samem, przyznałbym się do ucieczki z pod klucza. Oświadczyłem więc, że jestem profesorem kolegium. Wyjęty kapelusz sekretarza, wycierający mi z pod pachy, a także i ubranie pogniecione, i powalana koszula od noclegu na kufrze: a potem na jaśku z bermycy, nadawały mi wygląd skromnego pedagoga.

Począłem przedstawiać sprawę moich towarzyszek. Dopóki mówiłem o prześladowaniach, znęcaniu się nad cywilnymi, słuchał obojętnie, lecz gdy wspomniał, że między zakładnikami jest kilku wyższych oficerów, z którymi pułkownik obchodzi się tak srogo, Franchési zachnął się i rzekł do dam:

— Wierzajcie mi panie, prawa wojenne są straszne i nieubłagane, a czasem równie przykre dla tych, którzy je wykonywują, jak i dla tych, którzy im podlegają. Możecie być pewne, że wszelkich starań dołożę, aby sprawiedliwości stało się zadość.

Od dwóch dni moimi przyborami toaletowymi były jedynie szklanka wody i chustka, to też, dostawszy się na wolność, zapragnąłem powetować sobie ten przymusowy rozbrat z czystością. Myłem się właśnie, gdy do pokoju wpadł jeden z towarzyszków więziennych,

dziękując mi za uwolnienie. Opowiadał, że w kwadrans po naszym wyjściu z głównego sztabu, pułkownik przybył do merostwa i kazał oświadczyć więźniom przez tłumacza, że wstawił się za nami do generała i że nas wypuszcza pod słowem honoru i pod warunkiem, że zobowiązemy się zapłacić kontrybucję. Co za bezczelne kłamstwo! Na coś podobnego może się zdobyć tylko Prusak, Cieszymy się ze swobody i odkładamy decyzję do jutra.

Sobota, 25 lutego.

O szóstej zrana schodzimy się na naradę w ratuszu. Jest nas sześciu. Mer został uwiadomiony, że generał uwolnił nas warunkowo na prośbę i przedstawienia naszych pań, ale że nie będzie mógł przeszkodzić środkiem przymusowym, które zostaną przedsięwzięte, jeśli odmówimy zapłaty kontrybucyi.

Rozkazy wychodzą od jego zwierzchników: kanclerz chce kraj wycieńczyć i zrabować, a skrupuły jednego pojedynczego generała nie zdołają go wstrzymać na tej drodze. Lecz z drugiej strony, zawieszenie broni kończy się jutro o północy, dalsze prowadzenie wojny jest nieprawdopodobne, a najsroźsze bodaj warunki pokoju nie poprą tak niesprawiedliwych roszczeń.

Będziemy mogli bronić się, tłumacząc, żeśmy zobowiązali się płacić kontrybucję pod groźbą i na ciskiem i że takie zobowiązanie jest nieważne i daje nam prawo nie wnosić opłaty.

Prusacy, widząc, że zdobycz z rąk im się wysuwa, zechcą zapewne uciec się do środków ostatecznych. Należy więc obiecywać i udawać, że chcemy płacić, prosząc o zwłokę i odwlekać aż do chwili wyzwolenia. W tym celu postanawiamy wyprawić czterech z po-

śród nas: dwóch do Genewy, dwóch do Besançon, upoważniając ich jakoby do zaciągnięcia pożyczki, a z tajną instrukcją— aby nie czynili żadnych kroków w tym względzie.

Idziemy natychmiast do głównej kwatery. Przyjmuje nas pułkownik, szef głównego sztabu; prosimy go, aby nas uwolnił od stosunków z nieludzkim pułkownikiem i pozwolił traktować bezpośrednio ze sobą. Zgadza się, ale nam oświadcza, że jeśli jutro rano nie wypłacimy kontrybucyi, będzie musiał użyć przemocy.

Tłumaczymy, że nasi mandataryusze nie mogą wyruszyć dzisiaj do Besançon i Genewy z powodu czynionych im trudności przez władze pruskie, a powrót ich będzie musiał opóźnić się skutkiem przerwanej komunikacji.

Wyjazd odroczone do jutra. Środki transportowe przypominają mi słowa Karola IV Lotaryńskiego. Gdy w r. 1636 przyszedł nibyto z pomocą prowincyi Franche-Comté, wjeżdżając tam, rzekł:

„Jeśli za dziesięć miesięcy jedna bodaj krowa zostanie w całym tym kraju, obowiązuję się ubrać ją w aksamit.”

Prusacy mogliby to samo powiedzieć o naszych koniach. Na wagę złota niemożna dostać ani jednego w okolicy, przez nich zajętą.

Szef sztabu obiecuje dostawić naszych wysłańców na miejsce.

Niepodobna odrzucić propozycyi, bobyśmy się zdradzili z naszym fortem. Przyjmujemy więc, nie przedstawiając trudnego położenia mandataryuszów,

gdy wjadą w strefę niezajętą w pruskim ekwipażu i z woźnicą o pruskich barwach.

Ja mam jechać do Besançon z innym dostojnikiem miejskim. A więc jutro zobaczę rodzinę, a może nawet powezmę wiadomości o biednym Marcelku! Uda mi się może wrzucić na pocztę mój dziennik. Biorę go ze sobą na chybił trafił.

V.

Besançon, 26 lutego, 10-ta wieczorem.

O szóstej zrana wezwano nas do sztabu głównego. Pułkownik powtarza nam swoje zalecenia i groźby. W podwórzu czekał nas wehikuł, stary powóz, zaprzężony w parę koni pruskich. na koźle siedział żołnierz, piękny chłop o twarzy wesołej i uprzejmej.

Biorę ze sobą mojego ogrodnika Filipa, który nam może niejedno ułatwić. Wolimy nie korzystać z usług Prusaka. Pogoda wspaniała, pachnie już wiosną; ten rozdźwięk pomiędzy naturą, roztaczającą blaski, a dziełem rąk ludzkich, szerzących spustoszenie, jest tak przykry i bolesny, że nam serce goryczą napęlnia.

Na szczycie wzgórz Quingey, o dwie mile od Besançon, widzimy znowu szaniec, ziemia usiana kartaczami, poorana w fosy. Te ślady wojny kalają nasze dziecinne wspomnienia, pozostawione na tych wzgórzach.

Spotykamy kilka osób, jadących z Besançon i zapytujemy je, czy nie słyhać o zawarciu pokoju. Odpowiadają, że gdy o drugiej wyjeżdżały z miasta, rokowania nie były ukończone. Mamy teraz czwartą godzinę, a o dwunastej w nocy termin wypłaty.

Za zbliżeniem się do Vorges, czyli do granicy strefy, zajętej przez Prusaków, coraz wyraźniej widzimy, że niebezpiecznie jechać z pruskim woźnicą. Staram się wytłómaczyć mu, żeby zawrócił. Pokazuję mu Besançon i powiadam: „*La bas, capant!*” Zrozumiał. Zawraca natychmiast. Każe Filipowi jechać z nim do Quingey i tam na nas czekać. Idziemy dalej pieszo. W Busy spotykamy francuskie forpoczty. Zatrzymuje nas sztyldwach i prowadzi do komendanta oddziału. Pokazuje mu przepustkę, wydaną przez mera, a także dowód, stwierdzający, że jestem sędzią pokoju. Komendant oświadcza, że wobec zbliżających się znowu kroków wojennych, nie może nas puścić na swoją odpowiedzialność, lecz że ma przesłać ważne wieści generałowi brygady, dowodzącemu strefą, w Beurre, zatem dwóch żołnierzy list zawiezie i będą nam towarzyszyć zarazem.

Wyruszamy z naszą eskortą huzarów, ich wierzchowce są tak zmęczone, że idą krok w krok, więc łatwo im nadążyć.

Na całej linii czynione są przygotowania do pochodu. Spotykamy wozy z prowiantem, skrzynki z amunicją, ale jaka nędza! jakie wycieńczenie! Jaka bezsilność naszego wojska wobec świetnej organizacji przeciwnika!

W Beurre donoszą nam, że generał wrócił do swojej dywizji. Wyruszamy dalej. Wreszcie wchodzimy do Besançon, a choć nie mamy kajdanek na rękę, zbierają się jednak tłumy, aby nas oglądać. Najwyraźniej biorą nas za szpiegów, schwytanych na gorącym uczynku.

Proszę, aby mnie zaprowadzono do pułkownika

de Bigot, z którym miałem stosunki osobiste i służbowe, za dobrych czasów, przed laty czterema, gdy byłem szefem gabinetu prefekta w Daubs.

Pułkownik wyciąga do mnie ręce i dodaje mi tem otuchy. Wyluszcza mi cel naszej misji; prowadzi nas do generała Roland. Otaczało go ze dwudziestu oficerów sztabu głównego.

Wobec przecięcia komunikacji przez Prusaków, nikt tu nic nie wie, co oni wyprawiają w kraju, przez siebie zajętem. Nasze ciężkie doświadczenia budzą zgrozę. Generał dał nam instrukcję, jak stawiać opór, ale nasza municypalność nie będzie mogła stosować się do nich ściśle, gdyż te rady nie liczą się z naszymi środkami. Zresztą dowódca nie wątpi, że kroki wojenne zostaną wszczęte na nowo.

Po audyencji odprowadza nas dwóch oficerów sztabu głównego; dowódca każe im odprawić naszą eskortę.

Oficerowie pełni są ferworu i chęci do wojaczki. Nic dziwnego, mają swobodę ruchów. My jesteśmy bezbroni, skrępowani, jutro musimy wracać do jarzma i znosić go dalej bez nadziei wyzwolenia. Nie dziw zatem, że nam opadają ręce.

Około siódmej zdołałem wreszcie odwiedzić rodzinę; widok jej ulżył mi ciężaru. Wstępowałem do ciebie, Leonie, aby zasięgnąć wieści o chorym Marcelku. Są bardzo smutne. Tyfus ustąpił, ale jego skutki pozostały. Jak mi was żal, jak mi was żal serdecznie!

Poligny, poniedziałek, 27 lutego.

Po nocy pełnej snów przykrych, o siódmej zrana idę do dywizji, z prośbą, aby nas odesłano furgonem

do Quingey, gdzie nas czeka powóz pruski. Pułkownik de Bigot donosi mi, że podpisano preliminaria pokojowe. Ta wiadomość przyszła drogą telegraficzną o drugiej po północy.¹⁾

Doznaję olbrzymiej ulgi na wieść o naszym wyzwoleniu, ale ta radość trwa krótko: pułkownik wy-

1) Większość historyków jako datę podpisania preliminariów pokojowych wskazuje 25 lutego. Nie mogłem zrozumieć, jakim sposobem wieść o tem doszła do Besançon dopiero 27-go w nocy. Prawda została wyświecona po ogłoszeniu listów Juliusza Joly, prezeza ministrów Wielkiego Księstwa Badeńskiego, który pochodził od francuskich protestantów. Jako minister brał udział w rokowaniach pokojowych; pod datą 26 lutego 1871 r. pisał z Wersalu do swej rodziny:

„Wczoraj o dwunastej rano (a więc 25-go) Bismarck oznajmił mi i ministrowi bawarskiemu, że już doszedł do porozumienia słownego z parlamentarzami francuskimi co do przedwstępnych punktów pokoju i że mają być spisane dzisiaj. My baliśmy się, że układy nie dojdą do skutku, lecz zagorzali Prusacy pragnęli tego w nadziei, że uzyskają lepsze warunki, gdy kraj będzie wycieńczony do reszty.

Dziś po południu Bismarck ukończył sprawę z Francuzami po trzygodzinnych naradach. Wezwał nas tylko do podpisu, wyłuszczywszy nam wprawdzie rezultat rokowań. Był czarujący, uprzejmy w zwyczajnie. Francuzi zaledwie zdołali panować nad swym wzburzeniem. Dałby Bóg, żeby przyszły niemiecki mąż stanu nie przechodził już nigdy takiej chwili.

A więc dzisiaj po południu o godz. 4 min. 12 podpisany został ów najkosztowniejszy pokój, jaki Niemcy kiedykolwiek zawarli. Tryumfujący Bismarck podpisał go piórem złotem, które dał wprawdzie do obejrzenia Francuzom.”

Skoro pokój został podpisany 26-go, o 4-ej po południu, wobec trudnych komunikacyj łatwo zrozumieć, że urzędowa wieść o nim doszła do Besançon, dopiero 27-go o 2-ej po północy.

łuszcza mi potworne warunki tego pokoju: Alzacya i Lotaryngia stają się prowincjami niemieckimi, a w dodatku mamy zapłacić kontrybucyę wojenną wprost babczną, — 5 miliardów; taka cyfra mogła jedynie zrodzić się w głowie takiego ludożercy, jak Bismarck; te twarde warunki pozostawiają w sercach francuskich nieważność po wiek wieki. Niema mowy o uregulowaniu niezapłaconych rekwizycyj, a trudno się łudzić, aby taki traktat i na tym punkcie nie pogwałcił prawa i sprawiedliwości.

Staramy się więc natychmiast upozorować cel naszej podróży i dowieść Prusakom, że dołożyliśmy wszelkich starań, aby pieniądze uzyskać, a swoją drogą pieniędzy nie przywieźć. Udajemy się do Banku francuskiego i do wszystkich instytucyj kredytowych w mieście: dostajemy wszędzie poświadczenie piśmienne, że niepodobna zaciągnąć pożyczki, bodaj na małą sumę, albowiem w przewidywaniu oblężenia, wszystkie kapitały zostały przelane za granicę.

O dwunastej wyruszamy; wiezie nas żołnierz intendentury. Z powodu złej drogi dopiero o 3-ej dojeżdżamy do Quingey i zastajemy tam naszego Prusaka.

W Arbais zatrzymuje nas pruska placówka, druga u wjazdu do Poligny: musimy pokazywać nasze *laisser-passer*. Taki sposób pojmowania pokoju nie napełnia nas otuchą.

Wyruszając z Poligny, miałem przyjemność wiedzieć, że Prusacy opuszczają mój dom. Po powrocie znajduję go zajęтым od strychu do piwnic. Ha! cóż na to poradzić?

Siadałem właśnie do stołu, gdy wszedł mer z najlepszą wieścią: goniec, wysłany przez prefekta Jura, przybył z oznajmieniem, że preliminaria pokojowe

uniważniały wszelkie rekwizycje, niezapłacone do 25-go, do półno y. Nasz srogi pułkownik będzie stawiony przed radę wojskową, aby się usprawiedliwił ze swego brutalnego wystąpienia wobec p. Dietz. Same dobre nowiny!

Gdy wrócisz, znajdziesz swój dom prawie nie-
tknięty, sążnisty rachunek piekarza i ogromną szczerbę
w piwnicy. Pamiętasz wyborne wino z r. 1065 — to
nie był alkohol, lecz eter; sam zapach upajał, otóż twój
służący podawał to wino Prusakom w karafkach, dole-
wali sobie wódki i pili bez upamiętania.

Trzeba przyznać, że z małymi wyjątkami, poprze-
stawali na tem, co im dawano, nie zaglądając do pi-
wnic. Wiesz jakie krążą wieści o ich zachowaniu się
wobec kobiet. Otóż w Poligny nie zdarzyło się nic
podobnego, tylko w zeszłym tygodniu na przedmieściu
Charcigny, jakiś pijany Pomeranńczyk próbował nadu-
żyć gościnności swojej gospodyni — siedmziesięciolet-
niej staruszki. Mer, przechodzący właśnie przez tę
dzielnice, kazał aresztować tego osobliwego przestępcę.

Środa, 1 marca 1871 r.

Oto, kochany Leonie, epilog naszej smutnej ko-
respondencji. Kończy się nadzieją.

Dziś rano przyglądałem się z tarasu pięknemu
wschodowi słońca, gdy do uszu moich doleciał świst
lokomotywy. Powitałem go łzami — wydał mi się naj-
piękniejszą melodią, której byliśmy pozbawieni przez
całe dwa miesiące. I nie dziw, było to jakby powita-
nie, przesłane przez Ojczyznę.

Pociąg przywiózł nam współobywatela, noszącego
godnie nazwisko nieskalane w dziejach; margrabiego
de Froissard, oficera sztabu głównego przy 7-ej dy-

wizyi. Przybywał w imieniu generała Roland, aby
uzyskać u głównego sztabu pruskiego otworzenie linii
kolejowej do Bourg i przywrócenie komunikacji pocz-
towej i telegraficznej.

Wieść rozeszła się lotem strzały i gdy p. de Frois-
sard ukazał się na Grande Rue, dążąc do głównej kwa-
tery, wszyscy mieszkańcy wylegli przed domy. Jakże
radośnie witaliśmy ten francuski mundur, widząc w nim
jakby odrodzenie honoru Francyi. Nie mogło być mo-
wy o żadnych owacyach, ale prąd sympatyi zjednoczył
nas z tym wojakiem, był on niemniej od nas wzru-
szonym.

Możemy więc, kochany Leonie, powiedzieć sobie:
Do widzenia!

VI.

Poligny, 3 sierpnia 1871 r.

Sądziłem, kochany Leonie, że już ci nie będę opisywał utrapień najazdu, i oto znowu wczoraj spada na nas klęska i grozi nam straszny odmet.

Jak wiesz, armia pruska opuściła Poligny w końcu maja, tylko dwa krańcowe punkty naszego departamentu: Lons-le Saulnier i Dôle, były jeszcze zajęte przez zwycięzcę. Co dwa tygodnie zmieniano garnizony, wojska krzyżowały się w Poligny i bawiły tutaj przez całą dobę. Wczoraj właśnie odbyło się takie *chassez-croisez*.

Wracałem do domu o dziesiątej wieczorem z objazdu służbowego; dojeżdżałem do przedmieścia, gdy usłyszałem huk taki, jak gdyby ktoś zatrasnął ciężkie podwoje. Zaledwie przybyłem do domu, na ulicach wszczęły się krzyki. Otworzyłem okno, żeby zobaczyć, co się dzieje, zdążyłem zaledwie odskoczyć, bo wziął mnie na cel pruski patrol.

W tejże chwili wbiegł mój służący, wysłany na zwiady i doniósł nam, że Prusacy, rozwścieczeni Bóg wie o co, mordowali i grabili wszystko, co im wpadło pod rękę.

Musiałem udać się natychmiast do ratusza, aby

wziąć udział w naradach municypalności, ale niepodobna było iść przez Grande Rue, boby mnie rozszerpano. Mój ogród wychodził na pole; wymknąłem się od tej strony i wążutką uliczką dotarłem do ratusza.

Sala parterowa, służąca za kordegardę, była przepełniona, ujrzałem mężczyznę okrwawionego, kawał skóry oderwanej z czoła spadał mu na oczy. Nie poznałem, że to mój przyjaciel Drosne, inspektor lasów. Obok niego siedział Bernard, poborca z raną w głowie i Mayet, komornik, z posiekanymi plecami. Wreszcie przy ścianie na trzech krzesłach leżał człowiek pozbawiony ludzkich kształtów.

Był to Maîtrejean.

Mer opowiedział mi, co się stało: o dziesiątej dwóch dragonów pruskich poilo konie przy studni na placu, gdy z po za węgła uliczki Hopital padł wystrzał. Jeden z dragonów został zabity na miejscu, drugi odniósł ciężką ranę. Zatrąbiono do apelu, kapitan z dobytym pałaszem, kazał przysiądz wojskom, że pomszczą ofiary.

Natychmiast żołnierze rozbiegli się po mieście, we wszystkich domach sąsiednich wytłukli okna i drzwi powybijali, znęcając się nawet nad kobietami, leżącymi w łóżku.

Omnibus kolejowy wyjeżdżał właśnie na placyk, znajdowało się w nim dwóch pasażerów: wyciągnięto ich z karetki, zostali obici tak strasznie, że jeden zmarł niebawem. Powalono konie na ziemię i zakłuto je pałaszami,

Woźnica Maîtrepeau został ściągnięty z kozła dwóch żołnierzy cięło go pałaszami po plecach, gdy

padał na ziemię, podnosili go i rąbali znowu. Był posiekany od stóp do głowy. Trudno pojąć, że mógł wytrzymać taką męczarnię.

W chwili, gdy ci dręczyciele zbliżali się do ratu sza, z sąsiedniego domu wyszli: Drosne, Bernard i Mayet, Drosne, wioząc co się dzieje, podszedł do Prusaków i chciał w nich wzbudzić litość; zaledwie usta otworzył jeden z żołdaków rozplątał mu czoło.

Cernard i Mayet otrzymali także rany, ale mniej, ciężkie, tak, że zdołali przenieść omdłego Drosne do ratusza. Złożono tam również nieszczęsnego Maîtrepeau, gdyż Prusacy, sądząc, że już umarł, pozostawili go na bruku.

W kwadrans po mojem przybyciu do kordegardy, wszedł tam oficer, który zakomenderował egzekucję. Z jego upoważnienia przyprowadzono pod eskortą doktora Guillaumot. Opatrzył rannych; widać było, że jest oburzony i przejęty litością w równej mierze.

— Doktorze — oświadczył oficer — byłem pańskim gościem przez dwa tygodnie, mam dla pana wielki szacunek, jak wszyscy, którzy cię znają bliżej, jednak, gdybym cię był spotkał przed godziną, sam przebiłbym cię szpadą.

Niepodobna przenieść rannych do domów ze względu na ich stan rozpaczliwy. Zabrali ich do siebie znajomi, mieszkający w pobliżu ratusza. Drosne ma uszkodzoną czaszkę, lekarz uważa go za nieuleczalnego; Maîtrejean nie odniósł ran śmiertelnych, ale jego życie będzie męczarnią.¹⁾

¹⁾ Gdy Prusacy wszczynają odwet, zwykli nie zatrzymy wać się w pół drogi. Ze wszystkich ofiar z dnia 2-go sierpnia, joden tylko Maitrejean wrócił do życia, ale ma głowę spuch-

Dziś rano o szóstej ogłoszono dekret władz pruskich, obwieszczający stan oblężenia pod groźbą egzekucji wojennej za lada uchybienie przepisom.

Poczytuję sobie za obowiązek udać się wczesnym rankiem do plac-komendanta. Nie był to taki szakał, jak pułkownik; przyjął mnie grzeczniej; nasza rozmowa mogła być bardzo przykrą, stawała się możliwą.

Zacząłem od tego, że wyraziłem oburzenie ogólne z powodu zbrodni, której mógł jedynie dopuścić się jakiś nędznik w nadziei, że wyzyska ogólny zamęt w celach rabunku.

Dodawałem, że karanie ludności niewinnej było niesłuszne i że odszkodowanie jest konieczne. Oznajmiłem, że rozpocznę natychmiast śledztwo w sprawie tej zbrodni, że pragną tego wszyscy mieszkańcy dla honoru i bezpieczeństwa miasta.

Komendant odpowiedział, że przyjmuje do wiadomości mój protest, wnoszony w imieniu mieszkańców i że go zamieści w raporcie o zbrodni, lecz, że o jej skutkach zadecyduje urząd kanclerski.

„Kara była zasłużona — powiadał. — W chwili, gdy nam zamordowano dwóch żołnierzy, Prusacy znajdowali się w Poligny pod osłoną traktatu, podpisanego przez Francję. Wyście wskrzesili stan wojenny, my odpowiedzieliśmy tylko na wasze wyzwanie. Biorę także do wiadomości pańską deklarację, że będziecie po-

lą, ręce posiekane, całe ciało pokryte bliznami. Drugi pasażer, wyciągnięty z omnibusu, Marusse Rand, nie skonał na zajutrz tak jak jego towarzysz, ale stał się niezdolnym do pracy i umarł po dwóch latach strasznych męczarni. P. Drosne skutkiem silnego wstrząśnienia czaszki stracił pamięć, musiał wziąć dymisy i umarł niebawem. Tak samo pp. Bernard i Meyet.

szukiwał zbrodniarza. O ile to zależy odemnie; proponuję, aby śledztwo zostało poruczone panu i życzę pomyślnego skutku, bo gdyby zbrodniarz nie został wykryty, może was spotkać kara, którą upamiętnią przyszłe dzieje.”

Zwróciłem mu uwagę, jak niesprawiedliwie byłoby uważać zbrodnię, spełnioną przez jednostkę, za krok zaczepny i obciążać odpowiedzialnością całe miasto, które tylko przypadkowo stało się tej zbrodni widownią.

Po wyjściu od plac-komendanta, w pierwszej chwili uczułem ciężar podjętej odpowiedzialności, ale uspokoiły mnie słowa naszego starego proboszcza:

— Nie uchylaj się, nie uchylaj. Obowiązek ciężki, ale podjąć go trzeba.

Jeszcze przed najazdem rozmawialiśmy niekiedy z merem o niebezpieczeństwach, któreby nam groziły w danym wypadku. Wymieniał mi wówczas trzech łotrów, którzy byliby w stanie okupacji miasta dopuścić się czynu gwałtownego, celem grabieży.

Na moje nieszczęście, nie znajduję dostatecznego poparcia: municypalność w Poligny, przeciwdziałając rzekomemu uciskowi policyjnemu, wywieranemu za rządów cesarskich, skasowała komisarza, zastępując go brygadyerem; ten za jedyny obowiązek uważa sobie dozór nad szynkami, w których spędza dni całe; trzobaby jeszcze kogoś do pilnowania pana brygadiera.

Musiałem uciec się do ludzi dobrej woli, którzy obiecali zbadać opinię publiczną. Ci trzej hultaje uważani są ogólnie za sprawców zamachu; widziano ich, jak krążyli wieczorem w pobliżu szpitala; pomawiani są nadto o kradzieże i o szpiegostwo.

Po wyjściu od plac-komendanta wyprawilem sztafetę do sądu w Arbais i czekam jego przybycia jutro.

4-go sierpnia.

Dziś rano miasto zostało znowu zajęte przez kontyngens ośmiuset żołnierzy. Mieszkańcy dyszą wściekłością bezsilną i można się obawiać, że przy lada sposobności dopuszczą się jakiego niepowetowanego wybruku.

Sąd zjechał. Sędzia śledczy zbadał świadków, których mu wskazałem. Poszlaki duże. Wydano rozkaz aresztowania obwinionych, ja zostałem wyznaczony do dalszego prowadzenia sprawy.

Po skończonem śledztwie poszedłem do plac-komendanta z p. Villiers, pomocnikiem prokuratora, obznajmiwszy go wpieryw z poglądami tego oficera.

Powiedziałem mu, że liczy na to, iż kraj wymierzy sprawiedliwość przestępcom, lecz ostrzega przed złudzeniami, albowiem Prusacy, nie dadzą nam zadośćuczynienia za srogi odwet.

Pomocnik prokuratora powiedział plac-komendantowi to, co mu nakazywał honor i obowiązek: potępił zamach z 2-go b. m., lecz protestował przeciwko srożej karze, wymierzonej na spokojnych mieszkańców.

Komendant dowodził, że Prusacy mieli prawo tak postąpić i zapowiadał gorsze kary, jeśli sprawca zamachu nie zostanie wykryty, Ponowił zapewnienie że polega na naszym honorze i poczuciu sprawiedliwości. Sąd wojenny był już zwołany, lecz przyjmie takie orzeczenie, jakie mu sędzia śledczy objawi.

Przy dalszem badaniu przekonałem się, że opinia publiczna wpadła na trop fałszywy; zdaje mi się, że

jedynym winowajcą jest niejaki Jacquin. Wdowa, nazwiskiem Richard, zamieszkująca przy ulicy Hôpital, na krótką chwilę przed zamachem widziała mężczyznę, którego rysopis wskazuje Jacquina; wychodził z szynku naprzeciw i niósł pod bluzą kij czy też strzelbę; po paru minutach rozległ się wystrzał. Jacquin jest znanym awanturnikiem; wszyscy go się boją, wiedząc, że gotów spełnić wszelkie pogróżki, któremi sypie na prawo i lewo.

5-go sierpnia.

Dziś rano przesłuchiwałem w swoim gabinecie wdowę Richard, gdy zameldowano brygadiera; przyniósł mi strzelbę, znaną w opuszczonym chlewie na przedmieściu Trena. Kazałem sobie opisać sytuację tego chlewa i przekonałem się, że znajduje się przy najkrótszej drodze od ulicy Hôpital do mieszkania Jacquina; schował tam broń, aby mógł wejść do domu z pustemi rękoma.

Strzelba była o dwóch lufach?, z tych jedna z nabojem, a w drugiej pozostał jeszcze biały dymek, jak od świeżo spalonego prochu, a na nim nieregularne żłobki, jak gdyby od nieprawidłowej kuli.

Wezwałem rusznikarza; po obejrzeniu zdecydował, że kula musiała być wystrzelona świeżo. Kazałem wyjąć drugą ostrożnie, aby, o ile możliwości, jej nie naruszyć.

Wydobył naprzód jedną przybitkę, zupełnie świeżo włożoną; pokrywały ją ziarnka śrótu, odpowiadające wadze kuli. Potem wyjął drugą przybitkę, pozółkłą, a więc wtłoczoną wcześniej od pierwszej; pokrywał ją nabój grubego, zardzewiałego śrótu; wreszcie ostatnią

przybitkę, podobną do pierwszej, przytłaczał nabój prochu. Śrócin y zostały więc dodane zupełnie świeżo.

Zacząłem oglądać przybitki: dwie dawniejsze były wyrwane z książki do nabożeństwa i nie mogły służyć za wskazówkę, trzecia, pokryta śrócinami, była wydartą z pozwu sędziego pokoju. Był to zaledwie strzępek, ale wygładziwszy i spoiwszy kawałki, odtworzyłem numer porządkowy pozwu, dwie końcowe litery nazwiska pozwanegoin, z sumy wskazanej nie pozostała ani jedna cyfra, tylko słowo — *intérêts*¹⁾

Kazałem sobie przynieść księgę pozwów i stwierdziłem, że pozew pod tym numerem został wydany w dniu 3-cim sierpnia 1868 r. na skutek pretensyi niejakiego Reverchon na imię Jana Piotra Jacquin, wezwanego do wypłaty 100 fr. z procentami (*intérêts*). Słowem, był to jakby podpis sprawcy zbrodni.

Kazałem przyprowadzić wachmistrza i poleciłem mu aresztować Jacquina, wyluszczając mu doniosłość tej sprawy dla całego miasta.

Była ósma. Wiedziałem, że o dziewiątej odnośne władze pruskie miały dokonać autopsyi zamordowanego żołnierza w lokalu po fabryce gazowej. Udałem się zaraz, wzięwszy śrócin y.

Autopsya była już na ukończeniu, chirurgowie pokazali mi pięć śrócin, wydobytych z serca i płuc ofiary, dodając, że takie same trzy śrócin y wyjęto z żebrarionego żołnierza. Był to zatem komplet odpowiadający ośmiu śrócinom znalezionym w drugiej lufie. Ani jedna z wystrzelonych nie zaginęła. Wracając do miasta, spotkałem wachmistrza z trzema żandarmami.

¹⁾ Procent

Stwierdził już, że Pacquin jest w domu i szedł go aresztować.

Udało się to nadspodziewanie. Jeden żandarm został postawiony na straży, dwaj inni za zwierzchnikiem weszli do Jacquina.

Skoro tylko ich ujrzał, wyskoczył przez okno. Żandarm, stojący na straży, dogonił go. Wszczęła się walka zawzięta. Żandarmi przybyli w pomoc towarzyszowi i obalili Jacquina; zdołał wyjąć z kieszeni kastet i szewkie szydło, broń straszną.

Żandarmi musieli mu nadwężyć kości, aby go związać. Oprócz szydła i kasteta, znaleziono przy nim śróćciny takie same, jak w strzelbie, oraz demagogiczne proklamacye.

Wiedziałem, że władze pruskie, oczekujące rezultatu mojego śledztwa, nie zezwolą, aby im odebrano winowajcę, skoro zostanie aresztowany. Wiedziałem dalej, że gdy podsądny będzie w ręku Prusaków, okupacja tem samem ustanie. Lecz z drugiej strony wiedziałem, co mi nakazuje obowiązek; to też poleciłem żandarmom, aby pierwszym odchodzącym pociągiem odwieźli Jacquina do Arbais i oddali go władzy krajowej.

Lecz aresztowanie nie mogło przejść nieznacznie; choćby dlatego, że Jacquin w drodze ze swego mieszkania do żandarmeryi, stawiał swoim „prześladowcom” opór zawzięty i wrzeszczał w niebogłosy.

Gdy żandarmi doszli z nim na dworzec kolejowy, czekała już tam pikietka pruska pod dowództwem kapitana, towarzyszył jej audytor, spełniający obowiązki prokuratora przy sądzie wojennym. Ten oznajmił, że zabiera więźnia i wydał „pokwitowanie z odbioru,” Pikietka odprowadziła Jacquina do Poligny.

Wachmistrz doniósł mi o tem natychmiast, kaza-

łem mu wyruszyć zaraz do Arbais i uwiadomić sąd o tem nowem zajściu.

Przed opuszczeniem dworca, kapitan uprzedził Jacquina, że gdyby próbował uciekać, dostanie kulą w łeb. Z okien majego mieszkania widziałem, że podsądny rzuca spojrzenia na prawo i lewo (żandarmi pruscy szli przed nim i za nim, nie zaś po bokach, jak to jest zwyczajem we Francyi) byłem pewien, że Jacquin skorzysta z pierwszej sposobności, aby im umknąć.

Byli już o pięćdziesiąt metrów od ratusza. Na prawo biegła uliczka, dochodząca do pola. Gdy ją mijano, więzień skoczył w bok i popędził kłusem. Żandarm, idący za nim, zamierzył się bagnetem, ale bezskutecznie, jego dwaj towarzysze dali ognia, ale także bez skutku.

Parę pensyonarek przechodziło ulicą; szczęściem nie dosięgły ich kule. Zobaczywszy, co się dzieje, wybiegłem na taras, z kąd widać było pole. Jacquin, pomimo rąk spętanych biegł szybko wzdłuż murów klasztoru św. Ducha, chciał skręcić na lewo, lecz w chwili tej właśnie trafiła go kula i przeszła mu na wylot prawą nogę przy kostce. Rana była bardzo bolesna. Zemdlął; wniesiono go bezprzytomnego do ratusza.

Po południu udałem się do plackomendanta i wniosłem protest przeciwko zabraniu przez władze pruskie więźnia, który należał do sądów francuskich.

Komendant odpowiedział mi, że ten krok jest usprawiedliwiony stanem oblężenia i warunkami traktatu frankfurckiego.

Umilkłem, nie znając jego tekstu, lecz wydało mi

się dziwnem, aby ów traktat mógł zawierać warunki będące negacją traktatu pokojowego.¹⁾

Co zaś do stanu oblężenia, nie mogłem pojąć, jakim prawem władze pruskie ustanawiały go w kraju, zajmowanym już na mocy stanu wojennego, lecz tytułem gwarancyi, że traktat pokojowy będzie wykonany.

Bądź co bądź, uważałem, że dalsze prowadzenie sprawy przeciw podsądnemu, odebranemu z rąk władzy miejscowej, staje się niemożliwym. Byłoby to pogwałceniem przepisów naszego prawa kryminalnego i uchybieniem naszej godności, na które zezwolić nie mogłem.

Komendant odpowiedział mi na to, że szanuje mój skrupuł, lecz że Poligny może przypłacić drogo tę drażliwość.

— Poprowadziłeś pan śledztwo bardzo szybko i energicznie — mówił — i ocaliłeś miasto od strasznej odpowiedzialności. Jeśli teraz zaniechasz pan sprawy, podejmą ją pruskie sądy wojenne; znam ich procedurę, śledztwo potrwa ze cztery miesiące, a przez ten czas nad Poligny zaciąży znowu okupacya, której się tak boicie. Z tych względów warto pozbyć się drażliwości przesadnej.

Odpowiedziałem, że tu nie chodzi o moje uczucia osobiste, lecz o sprawę ogólną, że nie mogłem wyro-

¹⁾ Przedwstępny traktat z 26 go lutego nie zawiera żadnego artykułu, któryby dawał rządowi niemieckiemu prawo ścigania przestępstw, spełnianych przez Francuzów przeciw żołnierzom niemieckim. W trzy miesiące potem zdarzył się podobny wypadek w sądzie Seine et Marne; sąd francuski uniewinnił przestępcę. Z tego powodu Bismarck przesłał do hr. Arnima ową słynną depeszę, w której oświadcza, że niepodobna liczyć na *uczciwe* wykonanie traktatu przez naród, który stracił już poczucie honoru.

kować o niej bez zasięgnięcia rady sądu, że już go uwiadomiłem i że dziś ma rozważać tę sprawę.

W kilka godzin potem wszczęła się znowu dyskusya w sądzie wojennym. w obecności komendanta i wobec prokuratora Republiki, sędziego śledczego i mnie.

Sądownicy francuscy bronili wyłącznego prawa sądów narodowych do obwinionego; władze pruskie obstawały przy swoim poglądzie, streszczającym się w formułce: *sila przed prawem*. Postanowiono, że obie strony odniosą się do swej zwierzchności, a że tymczasem ja mam prowadzić śledztwo w dalszym ciągu.

Po powrocie do domu, zameldowano mi prefekta Jura, p. Pawła Dremorest.

Ładny chłopak, typowy hulaka, przedzierzgnięty w prowincjonalnego dygnitarza. Nie ma pojęcia o swoich obowiązkach.

Przybywał do mnie z prośbą, abym go zaprowadził do plac-komendanta.

Nie mogłem zapytać, jaki ma do niego interes. Poszliśmy. Prefekt zaczął od gwałtownego potępienia zbrodni, której ofiarą padli pruscy żołnierze, uznawał, że trzeba ukarać przestępcę, lecz błagał, aby go nie stracono bez sądu.

Komendant nie byłby zdziwiony, gdyby prefekt prosił o złagodzenie odwetu, wywieranego na mieszkańcach Poligny — mógł tej prośby nie uwzględnić, ale byłaby przynajmniej zrozumiała, Wstawienie się za przestępcą było wprost niedorzeczne. Komendant odpowiedział, że sprawa jest w ręku władz krajowych i że zbrodniarzowi nie grozi egzekucya doraźna. Oświadczywszy to, zmierzyl ku drzwiom, na znak, że posłuchanie skończone. Prefekt zmiarkował wreszcie, że znalazł się niewłaściwie i wyszedł strapiiony.

6-go sierpnia.

Dziś rano pomiędzy plac-komendantem a sądem wojennym wynikło nieporozumienie. Audytor uwiadomił mnie, że ma prowadzić śledztwo na własną rękę i że mnie wzywa do pomocy. Ma się rozumieć odmówiłem i doniosłem o tem drogą telegraficzną sądowi, który mi odpowiedział:

„Nie bierz pan udziału w śledztwie, prowadzonym przez władze pruskie, ale możesz przedstawić im dowody, zebrane przeciw Jacquinowi.”

Poszedłem do ratusza dla przesłuchania podsądnego. Audytor czekał na mnie, chciał być temu obecnym. Oświadczyłem, że w takim razie zaniecham zupełnie śledztwa. Wobec tej groźby cofnął swoje pretensye i pozostawił mnie panem sytuacji.

Wszedłem do celi, za mną sztyldwach z karabinem. Stał przy łóżku więźnia. Widząc, że mu kazano być obecnym przesłuchaniu, opuściłem celę i doniosłem plac-komendantowi, że wobec nieproszonej opieki, zaniecham sprawy. Tłómaczył mi uprzejmie, że w śledztwach, prowadzonych przez pruski sąd wojenny, obecność żołnierza jest wymagalna, lecz że gotów pominąć ten przepis. Jakoż istotnie wydał natychmiast rozkaz na mocy którego wolno mi było przesłuchiwać więźnia bez świadków.

Pacquin obmyślił cały system obrony, Zastąpił się *alibi*, dowodził, że mu ukradziono strzelbę dwa miesiące temu i że nie maczał palców w zbrodni.

Obaliłem jego *alibi* na mocy świadectw niezbi-tych, a zaprzeczających jego twierdzeniu. Pokazałem mu na planie, jaką szedł drogą, udając się na miejsce zbrodni, jaką wracał po jej spełnieniu i gdzie schował strzelbę. Następnie pokazałem mu przybitkę, zrobioną

z pozwu sądowego. Zmieszał się i pograżył w milczeniu. Był widocznie zrozpaczony, a w dodatku rana dokuczwała mu okropnie. Spisałem protokół, dałem mu go do podpisania i wyszedłem, nie chcąc go dręczyć dłużej,

7-go sierpnia.

Zakomunikowałem wynik śledztwa sądowi wojennemu. Był zdumiony taką szybkością i zaniechał własnych dochodzeń w tej sprawie.

* * *

D. 15-go sierpnia Jacquin został przeniesiony do Dôle. 17 go mer Poligny otrzymał od generała komendanta dywizyi, wyznaczonej do okupacji naszego powiatu, list następujący:

Dijon, 16 sierpnia 1871 r.

„Szanowny panie merze!

Ze względu na godne pochwały zachowanie się władz miejscowych wobec wojska, stojącego załogą i ze względu, iż miasto potępiło zamach z 2 d. m. nie tylko w słowach, lecz i w czynach, za pomocą skutecznych kroków, w celu wykrycia i schwywania zbrodniarza, uważam teraz za możliwe uwolnić całą ludność Poligny od ciężaru, który dawniej był koniecznym.

„Jednocześnie wyprawiam rozkaz cofnięcia garnizonu z Poligny i przerzucenia go do Lons-le-Saulnier. Panu sędziemu pokoju, który swoją energią przyczynił się do aresztowania mordercy, załączam wyrazy szczególnego podziękowania.

Podpisano: Dutrossel.

Generał-major, dowódca 4-ej dywizyi.

Poligny, a przynajmniej przedmieście, na którym spełniono zamach, nie pójdzie z dymem, P. Bismarek nie będzie mógł rozkoszować się miłym zapachem, jak

podczas pożaru Basilles, gdy do swego powiernika Buscha pisał w te słowa:

„Od strony Basilles uczułem silny zapach przypieczonej cebuli. Zapewne palono żywcem chłopów.”

Jacquin miał w Poligny matkę i żonę. Jego aresztowanie było dla tych dwóch kobiet wyzwoleniem. Pomimo to, przychodziły do mnie codziennie, zapytując, co się z nim dzieje. Zwracałem się do głównego sztabu niemieckiego z tem samym pytaniem; odpowiedziano mi, że jeszcze nie wyleczył się z rany i że sąd wojenny orzeknie o jego losie, gdy to nastąpi. W parę miesięcy potem, 10-go grudnia, otrzymałem list z zawiadomieniem, że Jacquin powiesił się w swojej celi.

Taki był niespodziewany koniec tego dramatu.

I znowu możemy zarzucić p. Bismarckowi niecne kłamstwo, jedno z tych, które należą do tradycji politycznych Wielkiego Fryderyka, lecz które żelazny kanclerz podniósł do wysokości instytucji państwowej.

Margrabia de Gabreac w r. 1895 ogłosił swoje wspomnienia dyplomatyczne z okresu, gdy reprezentował Francję, jako *chargé d'affaires* w Berlinie, w r. 1871.

Stwierdza, że wbrew zawartemu pokojowi, kanclerz pozostał nieprzejednanym wrogiem Francji.

W rozmowie, którą miał z Bismarckiem w d. 10 sierpnia, p. de Gabreac, mówiąc o amnestyi, wstawiał się, jak to było jego obowiązkiem, za naszymi żołnierzami, więzionymi w Niemczech, skutkiem przestępstw, popełnionych podczas niewoli.

Kanclerz odpowiedział, że co do tych, którzy zostali skazani za podniesienie ręki przeciw żołnierzom niemieckim, on, Bismarck, nie znajduje, aby wypadało przedstawiać ich do łaski króla w chwili, gdy w Poligny żołnierze niemieccy byli przedmiotem niecnych

zamachów ze strony Francuzów, dopuszczających się zbrodni bez oporu i protestu władz miejscowych.

P. de Gabreac, rzecz niepojęta, nie był jeszcze wtedy otrzymał od swego rządu notyfikacji o wypadkach z d. 2-go sierpnia, tak iż nie mógł wszczynać dyskusji w tej sprawie, zastrzegł sobie jednak prawo sprostowania tych wiadomości.

Zła wiara kanclerza była niewątpliwa: już 3-go sierpnia został zawiadomiony o zbrodni i codziennie donoszono mu szczegółowo o zachowaniu się sądownictwa i ludności; sam, za pośrednictwem generał-majora, przesyłał instrukcje do placomendanta. A jednak nie zawahał się dowodzić w d. 10-ym sierpnia, że *zbrodnia została spełniona przez Francuzów bez oporu i bez protentu władz krajowych.*

Wiedział, że przestępstwa dopuścili się nie Francuzi, lecz pojedynczy wyrzutek społeczeństwa, wiedział, że nikt nie mógł tej zbrodni zapobiedz, bo nikt jej nie przewidział, a wszyscy jednogłośnie ją potępił. Nie przeszkodziło mu to jednak rzucać potępienia na niewinnych, bo chciał mieć pozór do wszczęcia nanowo kroków zaczepnych.

To też w d. 16 sierpnia „Gazeta Krzyżowa” pisała, że „przestępstwa takie, jak w Poligny, winny stać się hasłem nowej wojny,”

Lecz wcześniej czy później, prawo bierze górę nad siłą. Bismarck tryumfował długo, ale i na niego przyszła kreska. Ów olbrzym, który stworzył mocarstwo i zdawał się być jego panem niepodzielnym, olbrzym, który targał Europą, został powalony przez kaprys swego monarchy, zawierający głęboką naukę i prawdę dziejową. Bismarck sam tę naukę uzupełnił, wykazując ile nikczemności kryło się w cieniu jego ge-

niuszu. Nie cefnął się przed żadną zradą; wyjawiał jedną po drugiej wszystkie tajemnice stanu, bezcześcił politykę niemiecką. Jeśli nie został o to pozwany przez sąd wojenny, to tylko dzięki litości i pogardzie monarchy, który go obalił. *Et nunc erudimini.*

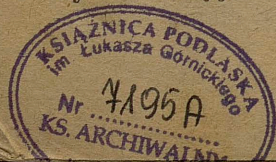
Z konieczności mówiłem dużo o sobie; w zakończeniu muszę jeszcze dodać, jak moje skromne usługi zostały nagrodzone. Od r. 1871 do 1877 zwierzchnicy ofiarowali mi nieraz awanse, uznając łaskawie, że marnuję zdolności na stanowisku sędziego pokoju.

Byłem zajęty uprawą ziemi i studiami nad historią naszego miasta. Z tych względów, jak również dla przykładu, aby w czasach, gdy dobijano się o tłuste urzędy, pokazać, że są ludzie poprzestający na małym, prosiłem, aby mnie zostawiono w Poligny.

Z drugiej strony uważałem, że życie za krótkie, aby mogło się w niem zmieścić kilka przekonań politycznych. Pozostałem po r. 1877 tem, czem byłem dawniej. Był to jeden krok fałszywy; popełniłem jeszcze drugi: nie iluminowałem swego domu, gdy p. Grévy został obrany prezydentem. Za to 14-go sierpnia 1879 r. zostałem odwołany z urzędu, po dziewiętnastu latach służby, tracąc prawo do emerytury.

Mogłem poświęcić się pracy na roli i studyom dziejowym, czerpiąc osłode w tych rozumnych słowach, które margrabia de Gabriac zaszczycił mnie, pisząc mi o tym fakcie:

„Lepiej być wierzycielem swego kraju, niż jego dłużnikiem, a w bolesnych wypadkach ostatniej doby dla człowieka który spełniał obowiązki publiczne, pociechą winna być myśl, że stał powyżej swych skromnych funkcyj.”



57325

